Nr. 18 Poznań, Niedziela dnia 30 kwietnia 1911. Rok XV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy czteroraz. (miesięczn.)	„	15%
„ kwartalnem 13 ×	„	25%
„ półrocznem 26 ×	„	33 1/3 %
„ rocznem 52 ×	„	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 97.



Aparaty fotograficzne

w największym wyborze poleca po bardzo niskich cenach

specyalny skład fotograficzny

„CAMERA“ Z. Śniegocki 6

Poznań, Rycerska 37.

Każdy aparat pokazuje się chętnie **bez przymusu kupna.** ▣ Na każdy aparat udziela się **gwarancyi.**
Katalogi, fotograficzne miesięczniki i tabliczki do oświetlania na życzenie **darmo.**
Wszelkie przybory fotograficzne, płyty, papiery i chemikalja zawsze świeże, gdyż bardzo wielki obrót.

Rewerendy,

płaszcze, oraz wszelką inną garderobę znaną z dobrego kroju

poleca 347

Przewielebnemu Duchowieństwu

W. Frąckowiak, Poznań,

Plac Wilhelmowski 18.

Dom Przemysłowy.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** [2
Kąpiele elektryczne świetlane.
Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Hurtownie! Detalicznie!

Mydła,

sody, mączki, świece, szczotki. 303

Wszelkie artykuły do prania i oświetlania

w wyborowych gatunkach, po nizkich cenach

poleca

Centralna Drogerya

J. Czepczynski

Poznań.

Skład detaliczny: **Stary Rynek 8. Telefon 324.**

Magazyny hurtowne: **ulica Południowa 3. Telefon nr. 238.**

MYDŁO REGERA

śnieżną bieliznę delikatną skórę błyszczącą kuchnią osięgnie się

mydłem Regera

w dwójnasób tak czysto aniżeli innemi.

113

Największe polskie przedsiębiorstwo

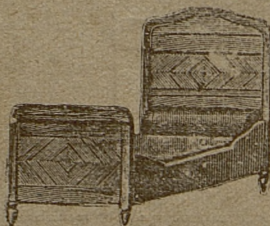


wiercenia studzień i fabryka pomp. 55

Wszelkiego rodzaju pompy ręczne **(w wielkim wyborze, kute żelazne)** do zapędu **koniem, parą, siłą motorową i elektryczną.** Wszelkie transmisye do pomp tanio i dokładnie wykonane.
Rury, łączniki rur wszelkiego rodzaju **wielki zapas** na składzie.
Wiercenie studzień na własne **ryzyko** za dostateczną **ilość wody** do każdego zapotrzebowania.

J. Kopczynski, Poznań

Telefon 2041 — **ul. Półwiejska 20** (Halbdorfstr.)
Filia pod własną firmą: **Ostrowo, ul. Koszarowa 26.**



Kanapy

garnitur plusz., materace, szezlągi i t. d. wyrabiane w własnej pracowni pod długoletnią gwarancyą li tylko z włókna indyjskiego.

Meble

szafy, szafki do bielizny, łóżka, stoły, krzesła, lustra itd. po rzeczywiście nizkich lecz stałych cenach poleca

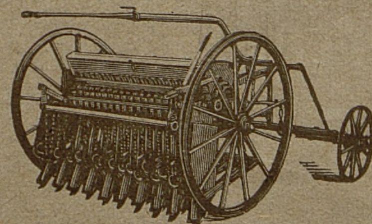
Fr. Krzyżagórski

Poznań, św. Marcin 5/6, obok kościoła.

Wyprawy całkowite jaknajtaniej

Zasada: Większy obrót, mały zysk. 500

Usługa skora, towar rzetelny.



Siewnik rzędowy

„Saxonia“

„Siedersleben, znany z swych nadzwyczajnych zalet i dotąd stanowczo najlepszy tak na role pagórkowate jak i równe, mam w Poznaniu w rozmaitych wielkościach na składzie.

W roku 1909 przy próbie 8 rozmaitych najlepszych siewników w Wilderwank w Holandyi, otrzymał siewnik Saxonia najwyższe odznaczenie.

Zaś w roku 1910 przy próbie siewników w Grombach przyznała badeńska izba rolnicza w Karlsruhe temuż siewnikowi pierwsze miejsce z 115 punktami. 114

Również polecam ze składu:

SIEWNIKI „WESTFALIA“

do sztucznych nawozów

Najnowsze czeskie siewniki do soli chilijskiej obsiewające dwa rzędy z dwóch stron.

A. Bryliński w Poznaniu

kantor i wystawa wszelkich machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu **przy ulicy Rycerskiej Nr. 14.** Wielkie składy machin i części rezerwowych na placu kolejowym. Własna pracownia do napraw. **Telefon Nr. 69.** Adr. do listów: **A. Bryliński** Poznań-Posen. Adr. do telegr.: **A. Bryliński** Posen.



Specyalność: 233

Revue 20 sztuk 80 fen.
Flying Fox 20 sztuk 1,00 Mk.

Jedyna jeneralna agentura i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu

Cygara w największym wyborze.

Abonujcie „Pracę!“

pobytu w Warszawie znający Polskę i chcący jej dopomódz. Zauważył on, że tylko wzmocnieniem władzy monarszej i ścisłem zespoleniem organicznem naród uchowa się od katastrofy, jeśli wogóle wszelakie środki nie są już zapóźne.

Wielhorski nie uwodząc się rozumowaniem Jana Jakóba Rousseau, a nie podzielając wątpień Malbego, napisał dziełko zastosowane do obyczajów i potrzeb krajowych pod tytułem: „O przywróceniu dawnego rządu podług pierwiastkowych Rzeczypospolitej ustaw.“

W żądaniach swoich autor był umiarkowany w przeciwieństwie do Czartoryskich, którzy chcąc narodowi ulepszenia za pomocą bagnetów rosyjskich wdrożyć, wywoławszy czteroletnie rozruchy, a następnie pierwszy rozbiór, doszli do przekonania, że narzucone dobrodziejstwa, nie są dobrodziejstwem, lecz bezprawiem mszczącem się tragicznie.

Pragnąc pozyskać szlachtę dla swoich projektów, Wielhorski robi jej wielkie ustępstwa. Nie domaga się uregulowania sprawy miast, pomija milczeniem usamowolnienie włościan i aprobuje nawet, aby Polska pozostała nadal rzecząpospolitą szlachecką, gdyż rycerstwu za dawniejsze usługi „należy się jakaś znaczna nagroda.“

W zamian za to usuwa bezkrólewie i przeobraża nawskroś elekcyę. Znosi zbiegowisko szlachty pod Wolą, rozrzuca senatorską szopę, wyklucza cudzoziemców od kandydatury. Na elektów naznacza senatorów zachodami około dobra publicznego zasłużonych. Obór odbywa się po sejmikach. Każdy sejmik ma skrzyneczkę mocno obwarowaną, z ciasnym otworem, aby nikt nie mógł wrzucić dwóch kartek od razu, zamiast jednej. Skrzynki te sejmikowe z głosami, w pieczęcie zaopatrzone, przesłać należy do jednej głównej skrzyni, znajdującej się w senatorskiej sali, a otoczonej silnemi kratami. Naruszenie skrzyni podlega karze wiecznej banicyi... Senat kartki przelicza, kandydata mającego poza sobą większość głosów królem naznacza, granice państwa wojskiem ubezpiecza, zwołuje sejm i przyspiesza koronacyę.

W końcu żąda Wielhorski zniesienia przywileju liberum veto. Zaprowadza przy głosowaniu prawo większości w stosunku dwóch trzecich do jednej trzeciej. Przyznaje izbie poselskiej wszechwładzę, czyniąc króla i senat tylko wykonawcami jej postanowień. Szlachcie zakazuje przychodzić z szablą na salę posiedzeń. Burzycieli obrad przeznacza karze śmierci stante pede. Królowi odbiera przywilej rozdawania urzędów i dostojeństw... Gdyby szlachta nie odrzuciła liberum veto, należy je odjąć jednostkom, a przydzielić korporacyom poselskim, wyobrażającym poszczególne województwa.

Tak wygląda szkielet projektu konfederata Wielhorskiego.

Niedługo po wystąpieniu Wielhorskiego, ukazało się w przededniu wielkiego sejmu dziełko bez daty i bez nazwiska autora — dziełko tytułu skromnego, lecz szerokiego wpływu „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“. Wydał je *Stanisław Staszic,* syn burmistrza w pogranicznem miasteczku wielkopolskiem, mąż wielkiej nauki, rozległych poglądów, epokowy reformator nie splątany żadnym przesądem, głosiciel ostrej prawdy i szermierz sprawy ludu. Przywdział on czarną sutannę wypełniając wolę rodziców, którzy chcieli mu otworzyć donośną karyerę w zawodzie duchownym. Lecz kładąc mierność i ustronne zacisze nad godności kościelne wyjednane wyrzeczeniem się wolnomyślnych zapatrywań, przyjął miejsce domowego nauczyciela u Jędrzeja Zamoyskiego, byłego kanclerza i twórcy nowego kodeksu praw polskich.

Pełniąc obowiązki prywatnego pedagoga, napisał Staszic „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“.

Nikt ni przedtem, ni potem nie wydał książki tak świeżej, tak oryginalnej, tak przekonywającej i na poczuciu dobrego opartej. Wprawdzie brak jej spójności, brak harmonijnego układu, lecz autor nie roił o wawrzynach literackich, nie pożądał ni pochwał, ni oklasków. Chęć odnowienia ojczyzny wtłoczyła mu pióro w rękę, a nagłość czasu, wrzącego coraz nowszemi przewrotami politycznemi, nie dozwalała ściślej zespolić porywczo na papier rzuconych ustępów. Autor zestrzelił swe siły ku stworzeniu jędrnej opinii społeczno-politycznej i poruszeniu lepszych żywiołów do podjęcia energicznych starań o wewnętrzną naprawę. Jakoż pragnienie to w czyn się przyoblekło. Broszura rozeszła się szybko po kraju. Pośród inteligentnych nie było nikogo, ktoby jej nie czytał, — pośród rozsądnych nikogo, ktoby jej zdań nie podzielał.

Głoszone przez Staszica idee znalazły gościnny przytułek w sercach przeważnej większości posłów, otwierających sejm wielki (1788).

Zachęcony zwycięstwem podąża Staszic do Warszawy, aby być świadkiem obrad i podsycać je przynajmniej tajnie, nie mogąc jako mieszczanin zostać czynnym ich uczestnikiem.

W stolicy pisze drugie dzieło pomnikowe „Przestrogi dla Polski“, również anonimowo. Gdyby umieścił nazwisko, któryż z posłów spojrzałby na tę pracę? Natomiast wskutek ukrywania się przed czytelnikami, zwrócił domysły o autorstwo na mylne tropy. Poczęto dzieło przypisywać tak popularnym mężom, jak Wybicki i Zamoyski.

Zdradzić nic nie mogło Staszica, najwyżej godło na czele „Przestróg“ położone: *„Si te a prima rei publicae parte fortuna amoverit, stes tamen — clamore iuves.“*

Drugie dzieło jest uzupełnieniem poprzedniego. Stało się ono programem stronnictwa patryotycznego, zjednoczonego z partyą królewską przeciw staro-republikanom.

Domaga się Staszic przeobrażenia rządu. Sejm ma być nieustający. Województwa wybierają liczbę posłów stosownie do wysokości podatków. Sejm tajnością głosów ustanawia cztery komisye: skarbową, wojskową, policyi i zagranicznych interesów.

Król jest dziedzicznym. Elekcyę usunąć należy, gdyż „w środku państw samodzierczych, żadna rzeczpospolita ani długo kwitnąć, ani długo trwać nie może. Do dawnych elekcyj, dawnej niewiadomości, dawnej prostoty, męstwa i cnoty Sarmatów potrzeba.“

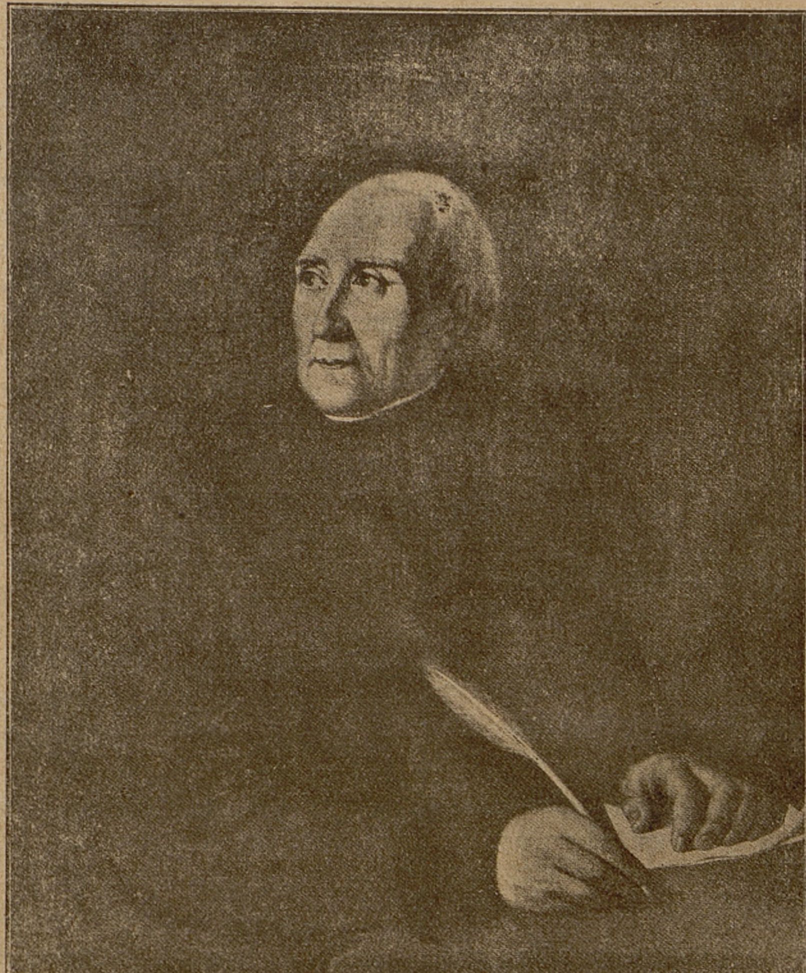
Dwie wyższe warstwy zrównane być powinny: „Niechaj będzie stu reprezentantów szlachty i stu reprezentantów miast.“

Najwyższy jest czas znieść poddaństwo na wymiar robót lub czynsze, zapewnić chłopu wolność wybierania stanu, przyznać mu prawo dochodzenia sprawiedliwości w sądach. Dla dziatwy wiejskiej trzeba szkoły parafialne zakładać... Zasługuje lud na te niezbędne ustępstwa, gdyż on to głównie ogrom ciężarów państwowych na swoich dźwiga barkach, on płaci największe stosunkowo podatki, on o zachowanie całości dzierżaw Rzeczypospolitej dba dostarczając jej rekruta, on w stanowczej chwili zdolny jest powstrzymać najazd postronnych.

Nie podziela tej bezgranicznej wiary w lud *Hugo Kołłontaj,* autor „Listów do Małachowskiego“. Przewyższał on Staszica tytaniczną energią. Połączywszy bezbrzeżną ambicyę z interesem o dobro publiczne, tem większe krajowi oddawał usługi, im wyżej wspinał się po szczeblach dostojeństw.

Został członkiem do wydawania ksiąg elementarnych. Odważył się język

ojczysty zrobić językiem wykładowym w gimnazyum Nowodworskiego w Krakowie. Podniósł poziom nauk, udoskonalił szkoły w Koronie, zbadał stan wszechnicy Jagiellońskiej, a mianowany jej rektorem uporządkował fundusz akademii, opatrzył ją znakomitymi profesorami i rozszerzył zakres prelekcyj.



Stanisław Staszic, epokowy reformator i autor dzieła pomnikowego „Przestrogi dla Polski.“

Piastując godność rektora, ułożył „ten przedziwny plan rządu szkolnego, jaki uchwaliła i zaprowadziła komisya edukacyjna i na jaki dopiero dwadzieścia pięć lat później trafiła Francya, ów świecznik cywilizowanej Europy.“

Troszczył się także Kołłontaj o szkolnictwo wiejskie. Jak bardzo pragnął podniesienia go na wyższy poziom, świadczy ustęp z „Listów do Małachowskiego“: „Mniej mieć, nie jest podług mnie nieszczęściem. Być nawet ubogim, może jest podług niektórych nieszczęściem stosunkowem, lecz nie może być nieszczęściem rzetelnem. Prawdziwa nędza człowieka jest, nie mieć dobrego wychowania, a prawdziwem nieszczęściem wolnego narodu, zawsze będzie nierówność edukacyi bogatego i ubogiego.“

Poróżniwszy się z duchowieństwem w Krakowie, przeniósł Kołłontaj działalność swoją z dziedziny pedagogicznej na pole polityczne. Wyniesiony przez króla na referendarza litewskiego, poznał na tem stanowisku dokładnie wadliwość w ustroju państwa. Chcąc ją usunąć rozwinął czynność sprężystą; użył zrazu środków umiarkowanych. Lecz gdy po ukończeniu wojny rosyjsko-tureckiej zawisła nad krajem czarna chmura niebezpieczeństw, chwycił się Kołłontaj, zniewolony jego krytycznem położeniem, niepraktykowanego dotąd radykalizmu, z którego wyrosła konstytucya majowa.

Staszic miał tylko możliwość przestrzegania rodaków. Kołłontajowi pozwalało wybitne stanowisko nietylko radzić i postanawiać, lecz także postanowienia urzeczywistniać.

Ale za wyświadczone ogółowi przysługi nie odebrał odpowiedniego uznania ten największy reformator w dobie Stanisława Augusta. Z zawiści przypisywano mu czyny, które on ledwie mógł znać po nazwisku. W uszczypliwy sposób zatruwano mu życie pracy obywatelskiej oddane.

Miał przecież Kołłontaj to zadowolenie wewnętrzne, że Konstytucya przez tryumwirat targowicki zniesiona, w narodzie nie przeminęła jak puste echo. Jej to bowiem jest wynikiem, że w powstaniu Kościuszkowskiem lud bronił honoru ojczyzny. Bez konstytucyi Kołłontajowskiej, nie byłoby Racławic, nie byłoby zwycięskiego wyparcia Prusaków z Warszawy, nie byłoby oswobodzenia Wilna.

Rzeczpospolita upadła pozostawiając idee konstytucyi 3. maja. Potomność, która je jako spadek odziedziczyła, zachowa w pamięci imiona trzech reformatorów, gdyż oni wiekopomną ustawę przygotowali i utworzyli.

Zdzisław Leitgeber.



3-CI MAJ.

Z mgieł przeszłości trzeci maju
Świeć nam słonkiem świeć!
Łączą dłonie — serca: szlachcic,
Mieszczanin i kmieć...
„Król z narodem, naród z królem!“
Brzmi kościelny dzwon
I braterską miłość niesie
Aż przed Boży tron.
„Równość, równość!“ Głos w powietrzu
Płynie z ponad pól
I na księdze, Bożej księdze
Zaprzysiągł ją król.
Uścisk splata bratnie ręce
W oczach płoną skry,
O, daj Panie w czyn wprowadzić,
Wszystkie szczytne sny!
Lecz nim rozkwitł w pełnej krasie
Ten wiośniany kwiat,
Nim przyklasnął czynom Polski
Oświecony świat,
Zdradne syny na Ojczyznę
Ściągły nieszczęść grom,
Na pogardę zasługując
I na wieczny srom...
Krew szkarłatna się polała,
By zmyć hańby znak,
Hen, w obłoki poszybował
Biały orzeł, ptak.
Krew się polska lała wszędzie,
Po wszem świecie, wszerz,
Lecz gdzież dzisiaj dawna chwała,
Nasza chwała gdzież?
Ach, jej pamięć nie wygasła
W sercach tych z pod strzech
I rozbrzmiewa w piosnkach wnuków
Łkaniem smutnych ech.
I rozbrzmiewa w jęku mieszczan
Gnębionych wśród miast,
W opowieściach zacnych matron
Ze szlacheckich gniazd.
Nie zginęło to, co zbudził
Ten pamiętny dzień,
Ani w mrok się nie zapadło,
Ni zsunęło w cień.
Mimo przeszkód, choć nas wraży
Powstrzymuje zgrzyt,
„Równość, równość i braterstwo“
Naszych pragnień szczyt:
„Kmieć, mieszczanin i brat szlachcic“,
Wszystko równy stan,

A nad nami, tam w niebiosach:
Bóg-Król — Ojciec-Pan!
I choć z oczu łzy nam płyną,
Choć nas tłoczy ból,
Któż nas zmoże, kiedy nami
Rządzi królów Król?
O, spójrz Panie miłosiernie,
O, spójrz na nasz kraj
I znów cudny, uroczysty
Ześlij trzeci maj!

Paula Wężyk.



Dobrowolna germanizacya.

W walce zaciętej, która w naszych dzielnicach się toczy o język i duszę ludności, wróg znajduje znakomitego sprzymierzeńca... w nas samych; w słabości i tchórzostwie lub też w nieopatrzności naszej idącej na rękę wrogim zakusom.

Mamy tu na myśli dobrowolną germanizacyę występującą w najrozmaitszych postaciach.

Wprost przerażająco przedstawia się ta sprawa w okolicach, gdzie kultura niemiecka góruje nad naszą, gdzie liczba inteligentnych jednostek polskich jest znikająco mała w porównaniu do inteligencyi niemieckiej, jak n. p. na Śląsku; tam gdzie ludność polska tworzy bądź tylko wyspy narodowościowe wśród ludności niemieckiej, jak się to dzieje na obczyźnie, bądź tam, gdzie obok ludności polskiej żyje liczebnie silna ludność niemiecka, jak n. p. na kresach.

Wszędzie tam objawy takie, że niektórzy rodzice nie troszczą się bynajmniej o narodowe wychowanie dziatwy, są na porządku dziennym. Każdy, kto zna stosunki na kresach, wie, ile tam rok rocznie ginie dusz polskich na rzecz niemczyzny właśnie z powodu zaniedbania najkardynalniejszych obowiązków narodowych ze strony rodziców. A potrzeba tylko czytać gazety wychodzące w Berlinie i Westfalii, by smutniejszych jeszcze dowiedzieć się rzeczy. Podczas bowiem, gdy na kresach z natury rzeczy dziecko zachowuje przynajmniej jaką taką znajomość ojczystego języka, a zatem zawsze jeszcze ma możność w późniejszem życiu przy sprzyjających warunrunkach stać się użytecznym członkiem społeczeństwa, bez porównania gorzej przedstawia się ta sprawa na wychodźtwie.

Tam zaniedbanie rodziców mści się daleko gorzej, gdyż dzieci, puszczone samopas i narażone wskutek tego na germanizujące wpływy otoczenia, często nawet mówić jezykiem ojczystym się nie nauczą i są dla społeczeństwa zupełnie stracone.

Ile zaś jest takich rodzin, (obserwować to można np. na Śląsku wśród nieuświadomionych narodowo warstw), gdzie rodzice sami rozmyślnie wychowują dzieci po niemiecku i, chociaż sami pomiędzy sobą używają języka ojczystego, do dzieci mówią wyłącznie tylko po niemiecku, albowiem sądzą, że w ten sposób torują im lepszą przyszłość i w szkołach i w życiu. Odgrywa w takich wypadkach także próżność niepoślednią rolę. Biedacy przyzwyczajeni uważać polskość za nieodłączny atrybut biedy i upośledzenia, a upatrujący w niemczyźnie coś w rodzaju biletu wstępnego do t. zw. „fajności,“ garną się do niemczyzny, nie wiedząc nic o tem, że pod względem owej „fajności“ Polacy Niemców zazwyczaj prześcigają.

Skarga, że coraz mniej dzieci polskich umie czytać i pisać po polsku, rozbrzmiewa na całej przestrzeni kraju naszego, a winić należy o to nie tylko przewrotny system szkolny, lecz rodziców przedewszystkiem, gdyż na nich ciąży obowiązek przypilnowania, by dzieci ich racyonalne wychowanie otrzymały.

I jakie są skutki tego zaniedbania? Wskażemy tylko na jeden: Otóż rodzice takim dzieciom wciskają sami do rąk niemieckie książki do nabożeństwa, gdyż korci ich, że dziecko w kościele gapi się po ludziach zamiast się modlić, a z polskiej książki dla braku umiejętności czytania modlić by się nie potrafiło. Trudno zaś wyobrazić sobie radykalniejszego środka germanizacyjnego jak wprowadzać język niemiecki w tę najbardziej delikatną dziedzinę uczuć, jaką jest stosunek dziecka do Boga, przyzwyczajać je do wyrażania swych najgorętszych pragnień i wzruszeń najistotniejszych w słowach obcej mowy!

Dzieci polskich zaś z niemiecką książką do nabożeństwa ujrzysz nie tylko na wychodźtwie. Nie brak ich i w kraju, przedewszystkiem na Śląsku, i to w wprost zastraszającej liczbie, szczególnie w miastach.

Lecz nie sądźmy, że Księstwo nasze, a nawet Poznań sam wolny jest od smutnych objawów dobrowolnej germanizacyi. Jest ich stanowczo mniej, niż w dzielnicach innych, lecz nie brak ich tu bynajmniej. I u nas nie brak Polaków w Kriegervereinach, a nie może się odbyć ani jeden festyn niemiecki, żeby Polacy nie uświetnili go bądź to swoją obecnością na obchodzie uroczystościowym, bądź rzęsistą iluminacyą okien nie zaznaczali, że niemiecka radość i ich jest radością. Ileż jest u nas kupców, którzy na godłach swoich i w oknach wystawnych mają wyłącznie tylko niemieckie napisy. W ilu sklepach polskich pryncypał i cały personel natychmiast porozumiewać się zaczynają ze sobą po niemiecku, gdy tylko jeden klient niemiecki wejdzie do składu. W ilu zakładach fryzyerskich nie znajdziesz ani jednej gazety, ani jednej ilustracyi polskiej, podczas gdy rozmaite Wochy, Simplicissimusy i inne piśmidła niemieckie bywają prezentowane gościom polskim, poddającym się procederom upiększającym? Czyż nie jest to upokarzającą dla nas rzeczą, że każdy Käseblatt niemiecki ma licznych prenumeratorów polskich, że bywa nawet trzymanym w domach takich, które bez pisma polskiego heroicznie się obywają? Gazetę polską abonuje się często na spółkę dla oszczędności, lecz na gazetę niemiecką są pieniądze...

Że takie niewłaściwości przyczyniają się do germanizacyi, a przynajmniej pomagają rządowi i hakatystom do nadawania fizyognomii miast naszych i fizyognomii życia publicznego w Księstwie pokostu niemieckiego, nie może ulegać wątpliwości.

A jakże ma się sprawa z narodowem wychowaniem dzieci? I o tem dużo możnaby mówić. Jeżeli zdarzają się wypadki, że dzieci inteligentnych rodziców, będące w średnich klasach gimnazyalnych, piszą listy do domu po niemiecku, bo się po polsku pisać nie nauczyły, to łacno zrozumiemy jak pod tym względem mają się rzeczy w rodzinach mniej zamożnych. Prymanerzy piszący nieortograficznie po polsku bynajmniej nie należą do wyjątków. Zaś zastraszająco nikłe są wiadomości młodzieży naszej z historyi ojczystej i literatury, podczas gdy zeszytowe wydawnictwa niemieckie sensacyjnej, a zazwyczaj niemoralnej treści szerokiem się cieszą u pewnej kategoryi młodzieży i wogóle ludności naszej rozpowszechnieniem.

Nie jest u nas bynajmniej tak jak być powinno. Nie zawsze jest w tem wina rodziców. Są rodziny wskazane na ciężką, wyczerpującą pracę, brak w nich rzeczy najniezbędniejszych do o-

pędzenia życia, niedostatek, troska, obarczenie licznem potomstwem stoi na przeszkodzie sumiennemu wykonywaniu najelementarniejszych przykazań narodowych. W tych przypadkach pomoc osób postronnych winna wypełnić luki wychowania domowego. Lecz cóż powiedzieć o rodzinach miennych, będących w możności opłacania nauczycieli, a grzeszących nieraz karygodną obojętnością wobec narodowego wychowania dziatwy swojej.

Kto nie przeciwdziała z wszystkich sił germanizacyi, ten germanizację popiera. Przeciwdziałanie to u dzieci szczególnie jest potrzebne, gdyż one najbardziej i najsystematyczniej są na wpływy obce narażone. Jestto rzecz trudna i delikatna, gdyż nie można w dziecku podkopywać zaufania do szkoły. Zatem przeciwdziałanie to nie powinno być negatywnej natury, lecz pozytywne. To znaczy, trzeba dzieci uczyć języka i historyi polskiej, zaznajamiać je z literaturą ojczystą i w ten sposób duszę dziecka i charakter jego urabiać, a będziemy mieli mniej Niemców po polsku mówiących tj. takich Polaków, którzy mówią wprawdzie po polsku, lecz ducha mają niemieckiego, a przynajmniej poniemczonego.

Za mało zwraca się u nas uwagi na to poniemczenie duchowe, które nawet w sferach inteligentnych czyni niemałe spustoszenia. Przed tą duchową germanizacyą należy bronić dziatwę naszą z wydatkiem wszystkich sił. Nie należy sie łudzić, że przywiązanie do języka jest rzeczą tak potężną, że o nie rozbiją sie wszelkie wrogie zakusy. Tak nie jest. Doświadczenie uczy, że ludzie rzucają język ojczysty jak stara znoszoną szmatę, gdy w duchu ich zabraknie treści, której język tylko jest narzędziem. Otoczenie, nawyknienie wiele może, lecz nie wszystko. Trzeba patrzeć w przyszłość. Nie bowiem o żyjącą obecnie generacyę chodzi, lecz o potomność.

Nie jesteśmy pesymistami, dalecy przeto jesteśmy od tego, by społeczeństwu prorokować upadek narodowy. Wierzymy niezachwianie w nieśmiertelną moc narodowego pierwiastka. Jakkolwiek będzie, wytrwamy i przetrwamy, jako całość, jako naród. Lecz trudno zamykać oczu na rzeczywistość najrealniejszą, trudno nie spostrzedz, że germanizacya robi u nas postępy i to nie bez naszej winy. My zaś nie możemy sobie pozwolić na takie upusty krwi i musimy im na wszelki dozwolony sposób przeciwdziałać. Pamiętajmy o tem, że każda strata na rzecz niemczyzny jest stratą podwójną: każdy bowiem ubytek nasz nie tylko nas osłabia, lecz wzmaga siły przeciwnika. Nie od rzeczy tedy jest wskazać od czasu do czasu na gangrenę, która nas toczy, a której na imię germanizacya dobrowolna. Jest ona bowiem stokroć szkodliwszą od wszelkiego oficyalnego niemczenia, które bezsilne jest póty, póki słabość, obojętność lub nieopatrzność nasza nie przyjdzie mu z pomocą.



Smutna rocznica.

Dnia 26. kwietnia minęło pierwsze ćwierćwiecze pruskiej polityki kolonizacyjnej. W tym dniu bowiem r. 1886 ujrzała światło dzienne ustawa kolonizacyjna.

Obliczona ona była początkowo na wykupienie szlachty polskiej, później dopiero zwróciła się także przeciw ludowi polskiemu.

„Jeżeli mamy szlachtę — dowodził Bismarck — mamy Polaków. Opór przeciwko asymilacyi, przeciwko wspólnej pracy z Niemcami, pogłębienie otchłani dzielącej obie narodowości, wszystko to jest w prowincyi poznańskiej i w polskich częściach Prus Zachodnich niemal wyłącznie dziełem szlachty. Już z memoryału Grolmanna wynika, iż szlachta z liczną swą familia, swą służba i urzędnikami dostarcza głównie żywiołów podtrzymujących agitacyę“.

Omylił sie. Nadzieja, że po usunięciu szlachty lud, pozbawiony naturalnych swych przywódców, stanie się łatwym łupem niemczyzny, zawiodła. Również zawiodła nadzieja łatwego wykupienia samejże szlachty.

Ustawa ta zadała ziemiaństwu polskiemu wprawdzie bardzo dotkliwe ciosy, zredukowała znacznie stan posiadania większej własności polskiej, sprowadziła do dzielnic naszych spory zastęp niemieckiej ludności rolniczej, przyczyniła sie do wzmocnienia niemczyzny w miastach, do których napłynęły zastępy kupców, rzemieślników, lekarzy i adwokatów niemieckich, lecz z drugiej strony i polski żywioł do energiczniejszej pracy i solidarniejszej akcyi obronnej zniewoliła.

Jeżeli już walka kulturna zbudziła z letargu biernego chłopa polskiego, to polityka kolonizacyjna powołała go do czynnej obrony usuwającej się nam z pod nóg ziemi ojczystej. Sprzyjało temu ruchowi z jednej strony znaczne podwyższenie cen ziemi, na którą nagle popyt się wzmógł, z drugiej strony łatwość nabywania parcel, gdyż społeczeństwo chwyciło się akcyi obronnej przez energiczną organizacyę kapitałów polskich i zakładanie instytucyj parcelacyjnych. Konkurencya pomiędzy rządową a prywatną polską kolonizacyą w dalszym ciągu podnosiła ceny ziemi. Równocześnie polepszały się konjunktury. Kredyt stał się łatwiejszy, komunikacya się udogodniła, nieustający popyt na ziemię wciąż pędził ceny w górę, wskutek czego podnosił się stan majątkowy rolników, szczególnie w razie sprzedaży majątku. Rolnicy widząc, że gospodarstwo idzie w górę, zaczęli imać się pracy, poczęto intensywnie gospodarować. Słabsi majątkowo, którzy w pierwszych latach działalności kolonizacyjnej polityki rządowej stawali się łatwym łupem komisyi kolonizacyjnej, bądź przez kredyt zdołali się utrzymać nad wodą, bądź znajdowali chętnych nabywców za pomocą instytucyj parcelacyjnych polskich. Słowem po kilkunastu latach działalności komisyi kolonizacyjnej pokazało się, że podaż ze strony polskiej stale się zmniejszała, natomiast niemieccy właściciele ziemscy coraz natarczywiej zaczęli narzucać komisyi swe majątki. Komisya była zmuszona zaspakajać apetyty niemieckie, gdyż inaczej Niemcy grozili, że sprzedadzą Polakom i groźbę w czyn wprowadzali. Popyt ze strony polskiej na niemieckie majątki bowiem był wielki tak ze strony ziemian polskich jak ze strony włościan i robotników, którzy na obczyźnie oszczędzony grosz na zakupywanie parcel obracali. Uchwalono wobec tego specyalne ustawy skierowane ku ograniczeniu parcelacyi polskiej. Jednakże i to nie zdołało złamać Polaków. Doszło nareszcie do tego, że rząd, przekonawszy się, iż Polacy coraz mniej ziemi kolonizacyi sprzedają, przedłożył znaną ustawę wywłaszczycielską, o której wprowadzenie w życie hakatyści i polakożercy tak gwałtownie się dopominają.

Ostateczny bilans według obliczeń niemieckich przedstawia się tak, że obecnie posiadają Polacy podobno o 100 tysięcy hektarów ziemi więcej, aniżeli mieli jej przed rozpoczęciem akcyi kolonizacyjnej.

Wynik zatem tej walki dotychczas nie byłby dla nas tak straszny, gdyby ziemia będąca w rękach kolonistów niemieckich pozostawała w nieograniczonem, dowolnem ich władaniu, gdyby innemi słowy istniała możność wykupienia jej przez Polaków. To wszakże jest

rzeczą wykluczoną. I w tem spoczywa istotna groza sytuacyi.

Bądź co bądź dokazaliśmy rzeczy nie małej i z uprawnioną dumą możemy patrzeć w przeszłość. Miliard bowiem marek zmobilizowano przeciwko nam, a wynik tej walki bynajmniej nie jest taki, żeby Niemców uprawniał do wytrębywania fanfar zwycięskich. Przeciwnie, coraz więcej głosów odzywa się przeciw dalszemu podtrzymywaniu tej polityki, która tyle demoralizacyi wprowadziła w walczące szeregi, a tych, których miała złamać i zwyciężyć, wzmocniła moralnie, a do pewnego stopnia nawet ekonomicznie uzdrowiła.

Życzyćby należało, by powołane ku temu czynniki poddały gruntownej rewizyi całą politykę osadniczą niemiecką. Nie przynosi ona bowiem Niemcom spodziewanych korzyści, pochłania prawdziwie bajońskie sumy, a jest nadto jednem z najwydajniejszych źródeł wciąż rosnącego w szeregach polskich rozgoryczenia, gdyż jest polityką nie tylko w najwyższym stopniu niemoralną i cyniczną, żąda bowiem od nas, byśmy sami na naszą zagładę się składali, lecz jest nadto polityką niemądrą, bo przyzwyczaja wielką część ludności niemieckiej do ustawicznego liczenia na pomoc i opiekę rządową i podkopuje przez to zaufanie do własnych sił i wychowuje pensyonaryuszw państwowych, niezdolnych ostać się samodzielnie w wirze konkurencyi swobodnej.



Pięćdziesięcioletni jubileusz otwarcia galicyjskiego Sejmu.

Wielki i ważny dla naszej dzielnicy jubileusz — pisze ks. Stojałowski — obchodziliśmy w dniu 15. kwietnia bieżącego roku.

W tym dniu minęło pięćdziesiąt lat od otwarcia galicyjskiego Sejmu.

Galicya z miastem Lwowem wcieloną została do Austryi w r. 1772. Przez lat tedy 87 panowali już Niemcy w Galicyi — i przez wszystkie te lata nie zrobili dla naszego kraju nic, zgoła nic! Nie było w kraju szkół, ani dróg, ani żadnej innej rzeczy, potrzebnej dla podniesienia oświaty lub dobrobytu jego mieszkańców. Owszem, rząd austryacki uważał kraj nasz, przezwany Galicyą, za cytrynę, którą starał się wyciskać do cna czemprędzej nietylko podatkami, ale też rozdrapywaniem majątku i bogactwa krajowego.

Po krótkich rządach cesarzowej Maryi Teresy, przyszedł cesarz Józef II, sławny z tego, że chciał gospodarzyć głównie w Kościele, ulegając rozpowszechniającym się wówczas prądom i dążeniom tak zwanych masonów, czyli wolnomularzy.

Kasował tedy klasztory i kościoły i przemieniał je na koszary, rozmaite niemieckie urzędy, lub sprzedawał żydom. Złote i srebrne naczynia kazał z kościołów pozabierać, a zapłacił za nie papierkami bez wartości.

Przepisał, co ma się księżom płacić za posługi duchowne, a także ile świec wolno świecić w kościele. Cieszyli się z tego masoni — a dziś masonów następcy cieszą się z tych zarządzeń Józefa II.

Lecz na tem nie koniec. W kraju naszym było dużo tak zwanych „królewszczyzn“ — czyli ziemi jeszcze do nikogo nienależącej, bo ludności było mało. Na tych ziemiach wolnych polscy królowie zakładali nowe wsie, lub dawali je w używanie urzędnikom państwa, szlachcicom, którzy za to spełniali rozmaite urzędy — i innej pensyi za to nie brali.

Cesarz Józef, chciał Galicyę zniemczyć i poosadzał na tych ziemiach Niemców, sprowadzonych z daleka — i pobudować im kazał budynki, a uwolnił od wszystkich ciężarów. Te „kolonie niemieckie“ widzimy rozsiane w różnych stronach Galicyi, a chwalą się Niemcy, że ich kolonie są ładniejsze i lepiej zbudowane niż wsie polskie. Nie dziwota! Budowano je kosztem naszym i z krzywdą polskiego chłopa, a koloniści bez pracy przyszli do gotowego, przyczem rząd niemiecki zawsze ich popierał i nie okładał ciężarami, jak to robił Polakom.

Dziś te niemczyska na nowo w kraju głowę podnoszą — choć ich nie ma ani ćwierć miliona, a o tem, że przyszli do nas, jak mówi stara piosnka, jak dziady, zapomnieli. Dawni Polacy patrząc na tych nowych gości w Galicyi, tak śpiewali:

Przyszli Niemcy do kraju,
Podług swego zwyczaju,
Z cielęcemi torbami
A teraz są panami.
Postawili rogatki,
Aby płacić podatki,
Drogi tytoń, tabaka,
Każdy Niemiec so...

Oprócz kolonistów sprowadzano także niemieckich grafów i panków i sprzedawano im królewszczyzny po 1 guldenie za morgę!

W urzędach też i wszędzie roiło się od „szwabów“.

Nic dziwnego, że za 87 lat takich rządów szwabskich w Galicyi, kraj zbiedniał i popadł w taką ciemnotę i nędzę, że po dziś dzień nie może się z niej dźwignąć.

Nietylko niesprawiedliwym, ale wprost niesumiennym kłamcą jest ten, który wszystką nędzę i biedę w kraju i zacofanie Galicyi przypisuje szlachcie, czy wyższym stanom, a tembardziej *sejmowi galicyjskiemu*.

Mogą tak mówić tylko młodziki i gołowąsy, którzy dawnych owych czasów „szwabskich 87-letnich rządów w Galicyi“ ani *nie widzieli*, ani ich nie pamiętają, ani o nich nic nie wiedzą.

Kiedy przed 50 laty — po tyloletnim niemieckim ucisku i wyzysku otwierano pierwszą sesyę sejmu krajowego — i czyniono pierwszy krok na drodze *samorządu*, cały naród bez różnicy stanów — szlachta, mieszczanie, duchowieństwo i chłopi błogosławili tę chwilę, jako zapowiedź i zaczątek lepszej doli.

Był to początek lepszej doli dla wszystkich, a w pierwszym rzędzie dla *„chłopów i całego ludu wiejskiego“*.

Spadły długowieczne kajdany *pańszczyzny*, chłop stał się posiadaczem ziemi, którą obrabiali jego ojcowie i on sam, a otwierała się mu droga do oświaty i lepszego bytu.

Nikt też sprawiedliwy i bezstronny nie może zaprzeczyć, że za pięćdziesiąt lat samorządu zmieniło się bardzo dużo w Galicyi na lepsze.

A mogłoby się było stać więcej, gdyby nie popełniono wielu „błędów“. Lecz gdzież są ludzie, którzyby byli bez błędu? Najgorszy błąd był ten, że zajmowano się bardziej *„wielką polityką“* — a za mało praktyczną robotą. Błędem było, że jeden stan szlachecki chciał sam kierować losami kraju — a nie wciągał do wspólnej pracy wszystkich innych stanów.

Lecz pomimo tych błędów w Galicyi za lat pięćdziesiąt samorządu zrobiło się sto razy więcej, niż za 90 blisko lat opieki austryackiej. W drugiej zaś połowie tych lat pięćdziesięciu zaczął się i ruch ludowy, który z pewnością przyniesie pożytek narodowi — wprawdzie nie teraz — lecz dopiero w przyszłości.

Mówimy nie teraz, bo obecnie ten ruch ludowy został poniekąd skrzywiony, bo zamienił się w ruch kastowy, i jak młode wino fermentuje i burzy się ze szkodą sprawy ludowej i narodowej.

Lecz po tem przesileniu, ruch ten się wyklaruje i stanie pożytecznym.

W każdym razie i to każdy musi przyznać, że ruch ten mógł powstać tylko dlatego, że przyszedł samorząd i wolność.

Dlatego wszyscy powinniśmy ten pięćdziesięcioletni jubileusz samorządu i Sejmu obchodzić z radością i z wdzięcznością wnieść najpierw serce ku Bogu, że dał się nam doczekać wolności, a także z wdzięcznością wspominać tych, którzy przed 50-laty pracowali, walczyli i nieśli życie w ofierze za zdobycie konstytucyi.

Na ostatniej sesyi sejmowej przeszłego roku, odesłano do komisyi wniosek, aby Wydział krajowy przygotował uroczysty obchód tej pięćdziesięcioletniej rocznicy. Wniosek ten przez ruską obstrukcyę nie przyszedł pod uchwałę Sejmu, lecz Wydział krajowy mógł i powinien był wniosek ten uważać za życzenie Sejmu. Słusznie tedy pisze „Gazeta narodowa“, że Wydział zawinił, nie uczyniwszy nic zgoła dla uczczenia tej pamiętnej chwili.

Tembardziej więc my sami powinniśmy ożywić w nas pamięć tej wiekopomnej rocznicy.



Józef Ryszkiewicz. **Na smutną nutę.**
(Patrz „Nasze ryciny.“)

W poezyi nie ma szkół, ni kierunków; w chwili, gdy się zjawiają, poezya ginie. *Jan Kasprowicz.*

* * *

Szkoda kwiatów, które więdną w ustroniu. *Adam Asnyk.*



Cześć pracy!

Życie czynne i praca jest warunkiem szczęścia.

Bóg stwarzając człowieka miał większy i szlachetniejszy cel na oku, niż proste zadowolenie jego zwierzęcych apetytów, chęci i namiętności. W klątwie, która skazywała człowieka na pracę w pocie czoła, leżało bezcenne błogosławieństwo.

Stwórca ukrył najwyższą szczęśliwość i najlepsze nasze dobro pod największemi trudnościami i uczynił je dostępnemi tylko w walce o byt. Każde uczciwe zatrudnienie jest godne szacunku.

Chrystus nadał znów pracy godność należną jej i znaczenie. Nie mówi on „Przyjdźcie do mnie wy, żądni przyjemności, wy leniwi, wy rozpróżniaczeni, lecz mówi: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, co strudzeni i obarczeni jesteście.“

Praca jest wielkim nauczycielem całej ludzkości, mustrującym sierżantem w armii życia, bez którego w walce bylibyśmy rozproszonymi, błędnymi, bezsilnymi żołnierzami. Najlepszym towarzyszem pracy jest pilność.

Znużeni pracą, pożądamy spoczynku, lecz gdy ten osiągniemy, nuda nas ogarnia. Długie życie przypada w udziale tylko ludziom czynnym.

W społeczeństwie francuskiem w klasach średnich panuje zwyczaj, iż mężczyźni z 40-tym rokiem przestają pracować i żyją z kapitału. Podług statystyki długo nie żyją, podlegają chorobom i prędzej nadchodzi starość i śmierć przedwczesna.

Naturalnie, że w wieku późniejszym trzeba mniej pracować, lecz zupełnie pracy się wyrzec jest szkodliwem tak dla umysłu jak dla sił fizycznych.

Gladston, znakomity mąż stanu w Anglii, pracował jeszcze mając lat 80.

Anglik Lord Palmerston należał równie do rzędu tych niestrudzonych. Gdy go spytano: na jaką epokę życia przypada najlepszy wiek mężczyzny odpowiedział: „Gdy ma lat 79“ — myśląc o swym własnym wieku.

Humboldt, znakomity niemiecki uczony, utrzymywał, że praca równie potrzebna do życia jak jedzenie i sen. Naturalnie, że kto okolicznościami zmuszony nad siły pracuje, ten przedwcześnie się wyczerpie. Dla tego też prawodawstwo ogranicza liczbę go-



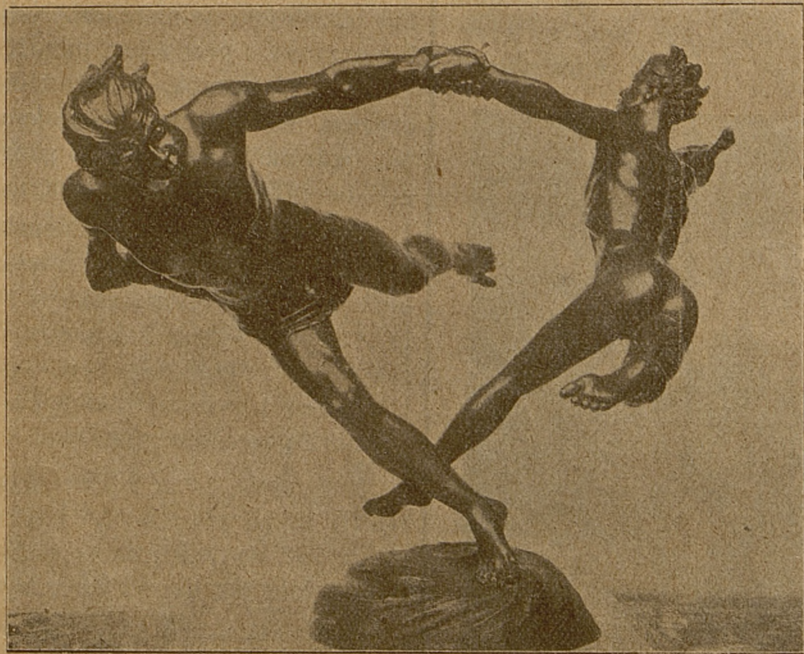
Alfred Wierusz — Kowalski. **Legenda: Beduini.**
(Patrz „Nasze ryciny.“)

dzin pracy. A w dalekiej przyszłości może postęp do tego doprowadzi, że każdy będzie zobowiązany do pracy, co by wielu próżnującym bogaczom na dobre wyszło, gdyż lenistwo i nadmierne używanie życia, jest dla ducha i ciała zabójcze.

Rozmaite są rodzaje pracy, a mianowicie umysłowe i fizyczne. Przy wyborze zawodu powinniśmy zawsze uwzględnić nasze zamiłowanie, bo żaden człowiek nie zdoła bezustannie walczyć przeciw swemu usposobieniu. Natura nie daje żadnemu człowiekowi spokoju, dopóki nie znajdzie właściwego sobie miejsca.

Każdy człowiek posiada zamiłowanie, uzdolnienie mniejsze lub większe do jakiegokolwiekbądź zajęcia. Geniusze zdradzają to uzdolnienie już w wczesnym wieku.

Mozart grywał na fortepianie i komponował mając lat cztery. Goethe pisał tragedye jako dwunastoletni chłopczyk. Canova rzeźbił, będąc jeszcze dzieckiem. Taka wczesna dojrzałość jest niezmierną rzadkością, my zaś musimy zadać sobie niemało trudu, by wynaleść w sobie właściwe uzdolnienie. Jeśli je znajdziemy, rzecz to dla nas nader cenna. Najskromniejszy zawód podniesiemy przez sposób, w jaki go wykonujemy, i w najskromniejszych stanowiskach można dzięki inteligencyi i usilnej pracy zdziałać coś wybitnego. Każdy człowiek pracujący wytrwale może dojść do celu, jaki sobie zakreślił Edison, genialny twórca telefonu, fonografu i tylu innych zdumiewających wynalazków. Był roznosicielem gazet w pociągu, miał wówczas 15 lat. Wtedy już gorąco zajmowała go chemia i urządził sobie małe przenośne laboratoryum. Pewnego dnia, kiedy dokonywał jakiegoś nadzwyczajnego eksperymentu, niespodzianie zachwiał się pociąg i butelka z kwasem siarczanym rozbiła się. Powstał zaduch niesłychany i wagon został uszkodzony. Młodego uczonego ukarano policzkiem. Mimo wszelkich przeciwności pracował usilnie i dziś jest najsławniejszym mężem w Ameryce. Kiedy pytano go o tajemnicę powodzenia, odpowiedział z prostotą, iż nigdy nie używał napoi alkoholicznych i we wszystkiem prócz pracy był umiarkowanym.



S. Celiński. **Świst — Poświst.**
(Patrz „Nasze ryciny.")



E. Wittig.
Mężczyzna i kobieta.
(Patrz „Nasze ryciny.")

Mamy oto przykład, iż powodzenie czeka na każdego, który ma dość energii i zdolności, by po nie wyciągnął rękę. Nie zależy na tem czy kto urodził się w pałacu, czy w chacie, bo skoro tylko ożywia go silne postanowienie i mocno obstawa przy swojem, nie ma na ziemi potęgi, którąby mogła go przygnieść i powalić.

Ten najlepiej pracuje, kto nie tylko dla siebie gromadzi owoce swej pracy, lecz społeczeństwo i ojczyznę chce wzbogacić.

W naszem społeczeństwie przykładem niesłychanej pracowitości był ks. Prałat Wawrzyniak.

Miejmy w pamięci zawsze przykład Karola Marcinkowskiego. Syn mieszczański, zostawszy lekarzem, pracował bezustannie, nietylko w swoim zawodzie, lecz zasłużył się nieskończenie społeczeństwu przez swą pracę społeczną. Jako najwybitniejsze swoje dzieło, stworzył instytucye jak pomoc naukową, które urzeczywistniają myśl jego i pracę jego życia. Artyści, uczeni, poeci dają nam dzieła, owoce swej pracy, z której całe liczne pokolenia korzystają. Są to dobroczyńcy ludzkości, która cześć ich imiona powinna, bo niezmierzone są dla niej korzyści z ich pracy, w którą wlali serce i duszę i której całe życie poświęcili. Oni stwarzają cywilizacyę i kulturę i wprowadzają nas na wyższy szczebel rozwoju.

Wielkim nie każdy może się stać, lecz pożytecznym każdy, kto uczciwie pracuje. — U nas pole do pracy jest bardzo rozległe. Przychodzą mi na myśl zastępy liczne pań naszych, które prócz troski o gospodarstwo domowe, żadnego zajęcia nie mają.

Towarzystwa oświatowe społeczne i dobroczynne chętnie przyjmą ich pomoc i pracę.

Pamiętajmy, że kto tylko żyje, by jeść i pić, kto nie otarł żadnej łzy, kto ceni tylko pieniądz i wygodę, kto żyje tylko z pracy innych, ten nie wart miana człowieka.

Sońka.

Patrz daleko, czuj głęboko,
Młodą duszę wznoś wysoko,
A za celem goń...
Teofil Lenartowicz.

* * *

Starzejcie się rozumem, dojrzewajcie wyobraźnią, wyrabiajcie wolę silną, ale bądźcie sercem młodzi na wiek wieków.

Józef Ignacy Kraszewski.

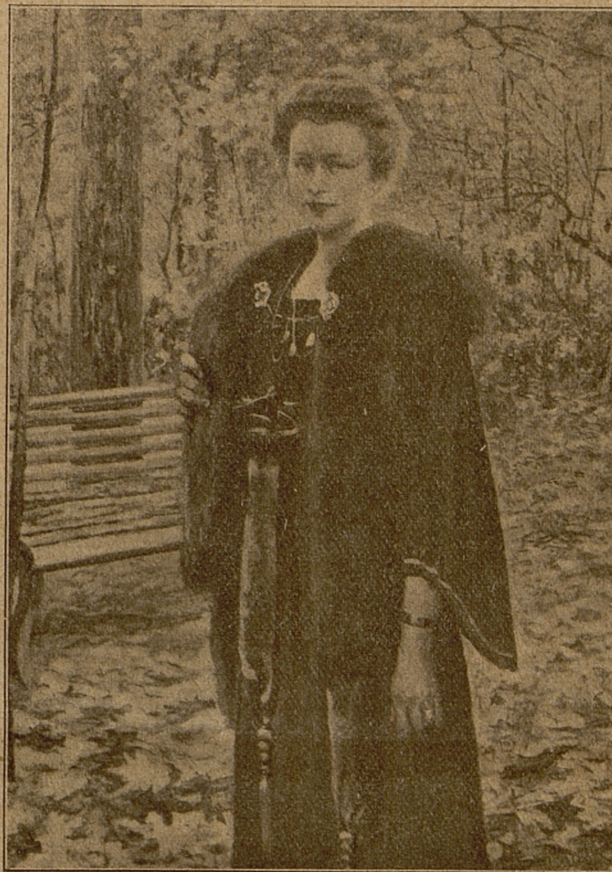


Rewolucya o wino.

Prawie każdy człowiek słyszał o winie szampańskiem, nie wszyscy je pili, lecz wszyscy wiedzą, że jest to dobre wino musujące, a przedewszystkiem z tego znane, że bardzo drogie. Wyrabiają je dotąd w jednej okolicy Francyi, zwanej Szampanią. Ta okolica nie może już nastarczyć tego wina na cały szeroki świat, więc sprowadza w ogromnej ilości wina z innych okolic Francyi i u siebie przerabia na szampan, bo innym tego czynić nie wolno. Z tego powodu zazdroszczą te okolice i mówią: my mamy takie dobre wino jak w Szampanii, jeżeli tam wolno wyrabiać z obcego wina szampan, to przedewszystkiem nam wolno z naszego to samo czynić — i żądają, aby wszystkim okolicom wolno było wyrabiać szampan, albo też przynajmniej niektórym z nich, bliższym Szampanii. Na to nie chce się zgodzić Szampania, bo wie, że jak tylko inne kraje będą mogły także wyrabiać szampana, to on bardzo potanieje i dotychczasowi fabrykanci jego nie będą mogli ciągnąć tak wielkich zysków. Na wieść, że może do tego dojść, winiarze szampańscy urządzili taką rewolucyę, że na cały świat o niej głośno. Naprzód rozruchy powstały we wsiach Damery i Dizy, gdzie tłum zniszczył wszelkie zapasy szampana tych fabryk, które były podejrzane, że wyrabiają szampana z wina sprowadzanego. W jednej wielkiej fabryce, Castellane, winiarze zniszczyli 230.000 flaszek szampana, wino wypuszczono do rowów tak, że miejscami ludzie brodzili w niem po kolana. Zmobilizowano wszystkie okoliczne garnizony, aby przeszkodzić dalszym rozruchom. Ale nadaremnie. Na drugi dzień tłum kilku tysięcy winiarzy w innej wsi zniszczył cztery składy wina szampańskiego tak, że zalało ulice i prawie całą wieś. Z beczek ustawiono barykady, połamano wozy, któremi przewożono to wino i zniszczono biura a księgi handlowe popalono. Następnie tłum uderzył na fabrykę firmy Sothier. Wojsko, które przybyło, tłum obrzucił kamieniami, jednak w końcu wojsko zdołało przywrócić spokój, przyczem kilkadziesiąt osób odniosło rany od kopyt końskich. — Lecz nie koniec na tem. O zmroku na wielu wzgórzach ukazały się rakiety. Był to znak umówiony, że winiarze mają się zbierać po wsiach i iść na inną miejscowość Ay. Zniszczono piwnice w miasteczku Penteuil, to znów podpalono dwie fabryki szampana. Gdy nastała noc, widać było ogromne łuny w wielu miejscowościach. Następnie w nocy podpalono dalsze pięć fabryk i piwnice splondrowano. W środku miasta Ay wybuchnęła bomba, która zabiła trzech żołnierzy. Wogóle co się działo owej nocy w mieście Ay, to robiło wrażenie końca świata. Obliczają, że w tem jednem mieście zniszczono wówczas milion litrów szampana.

Równocześnie w mieście Epernay rozgrywały się podobne sceny. Winiarze uzbrojeni w strzelby, kosy i grube kije wtargnęli do miasta. Dwie fabryki szampana padły ofiarą pierwszego ataku. Gdy ukazała się kawalerya zbudowano barykady. Część winiarzy splondrowała fabryki, a część za miastem podpalała owinięte w słomę krzaki winogronowe. W ten sposób zniszczono kilkanaście hektarów winnic.

Nakoniec tłum zbuntowanych winiarzy udał się w pochód do wielkiego miasta Reims; wysłane dwa pułki żołnierzy ledwo ich zdołały powstrzymać. Wogóle przeciwko rewolucyonistom zmobilizowano 16.000 żołnierzy. Szkoda, jaką spowodowali rewolucyoniści, wynosi wiele milionów marek i potrzeba będzie wiele pracy, nim się ją wynagrodzi.



H. Piątkowski.
Portret pani A. S.
(Patrz „Nasze ryciny.")



E. Trojanowski.
Kazimierz na Wisłą.
(Patrz „Nasze ryciny.")

Szczyty skalne, tonące w chmurach, to wysoki umysł ludzki, usiłujący przeniknąć zagadkę bytu.
Adam Krechowiecki.

* * *

Pamięć, to jest skład, w którym leży przeszłość, a wspomnienie ma miejsce wówczas, gdy się do tego składu schodzi, żeby coś wydobyć.
Henryk Sienkiewicz.

* * *



Z TEATRU.

Jul. Słowacki: „Fantazy“.

„Fantazy“ czy też „Nowa Dejanira“ czy wreszcie „Niepoprawni“ — to różne tytuły nadane tej samej rzeczy. Żaden z nich nie pochodzi od Słowackiego. Tytuły te dano tej sztuce później, a żaden z nich w zupełności do niej nie przystaje.

Tak samo ma się rzecz z kwalifikacyą. Nie jestto bowiem ani tragedya, ani dramat, ani komedya w ścisłem tych słów znaczeniu. Miesza się raczej w tej sztuce żywioł komiczny z wysoce tragicznym tak w akcyi jak w charakterach działających osób.

Typowo komedyowemi postaciami są hrabiostwo, Stella, Rzecznicki, podczas gdy major, Jan i Dyana mają profil wybitnie tragiczny. Reprezentantami bardzo wysokiej, subtelnej komiki są Fantazy i Idalia, przedstawiciele modnego wówczas romantyzmu, którego deklamatorstwo i wybujałość smaga Słowacki biczem wykwintnej ironii i sarkazmu.

Jeżeli myślą przejdziemy akcyę tej sztuki, spostrzeżemy, że autor zabrał się do pracy w chęci stworzenia komedyi. Rychło jednak (z pojawieniem się Jana i ujawnieniem jego stosunku do mającej pójść za Fantazego Dyany) wysuwa się przemożnie na pierwszy plan wybitny tragizm charakterów i sytuacyj. Tragizm ten rzuca ponure cienie na przebieg dalszej akcyi. W tem wraca ton komedyowy w niefortunnem qui pro quo (porwanie p. Rzecznickiej), by rychło się załamać w głęboko tragicznych ostatnich scenach aktu czwartego.

Mamy zatem przed sobą dzieło niejednolicie i we wysokim stopniu wadliwie zbudowane i to tak dalece wadliwie, że jako utwór sceniczny krytyki absolutnie nie wytrzymuje.

Szkoda to niepowetowana, niezmierna.

Jednakże Słowacki wynagradza te uchybienia poważne w iście królewski sposób: pięknością niezrównaną języka, przedziwną poetycznością poszczególnych scen, wprost znakomitem postawieniem i przeprowadzeniem konsekwentnem charakterów.

Jeżeli rozśmiesza nas śmieszny istotnie komizm Respektów, to wstrząsają nas do głębi smutne przeżycia Jana i Dyany. Pierwszorzędny zaś interes budzą komiczne wprawdzie, lecz głębokie mimo wszystko i poetyczne postaci Fantazego i Idalii, których deklamatorstwo, jakkolwiek czcze i błahe dla chłodnego widza, to jednak czujemy, że u nich wniknęło ono głęboko w mózg i naturę i stało się istotną częścią składową ich psychiki, ich dusz rozmarzonych i egzaltowanych. Mamy w nich klasyczny przykład, pomnik umysłowości i uczuciowości ludzi żyjących w pierwszej połowie zeszłego wieku. Te figury pochwycił poeta jakby na gorącym uczynku i tchnął w nie prawdę i moc nieśmiertelnego w dziedzinie sztuki żywota. Są to postaci, jakim równych drugi raz nie stworzył Słowacki, postaci zaiste niezrównanej, znakomitej wartości tak pod względem literackim jak, żeby się tak wyrazić, pod względem dokumentarycznym.

Także major rosyjski, który dla szczęścia tych, których umiłował, śmierć ponosi, narysowany jest silnemi i zdecydowanemi rzutami pióra, również ksiądz Loga, jako i wdzięczna, naiwna, szczebiotliwa Stella, tudzież Rzecznicki są znakomicie sprofilowanemi postaciami. Szkoda tylko, że wszystkie te tak bogato, tak rozrzutnie w piękno i poezyę przyozdobione figury, rzucone są w wir akcyi rozbieżnej, nie ujętej w karby logiki scenicznej, wskutek czego świetne, wspaniałe epizody nie wiążą się należycie w wyższej jedności i sprawiają, że sztuka jako całość uważana być musi za chybioną. Wszakże, jak się rzekło, epizody poszczególne i figury dramatu są tak piękne, tyle w nich poezyi i najwytworniejszego artyzmu, tyle prawdy psychologicznej i intuicyi jasnowidzącej, tyle w sztuce tej subtelnego i świetnego jak fajerwerk sarkazmu i błyskotliwej ironii, że mimo wszystko „Fantazego“ do dzieł sztuki zaliczyć należy i to do dzieł sztuki najszlachetniejszego rodzaju. Przenosi on mimo swych niedomagań o nieba całe najsubtelniej wypracowane dramaty najgłośniejszych rzemieślników dramaturgicznych, a przenosi je mocą utajonej w niej poezyi, mocą geniuszu swego twórcy, który na dziele tem wyrył niezatarte piętno. Także w twórczości Słowackiego zajmuje „Fantazy“ poczestne miejsce. Według mojego słabego i bynajmniej nie miarodawczego znawstwa, stawiłbym go np. ponad takiego „Mazepę,“ któremu jako całości nie można zrobić podobnych zarzutów, lecz w którym też za to nie ma ani jednej figury tej wartości artystycznej co Fantazy lub Idalia, a zato niebrak figur chybionych dotkliwie.

Jasną jest rzeczą, że inscenizacya sztuki tego typu co „Fantazy“ stawia wymogi bardzo rozległe do intuicyi i fantazyi twórczej reżysera. Również aktorom stawia rzecz ta zadanie trudne. Za trudne snać jak na stosunki naszego teatru.

Godząc się na ogół, lubo z pewnemi zastrzeżeniami, na inscenizacyę tej rzeczy, absolutnie nie podobna się zgodzić na karygodną rozbieżność i dysharmonię panującą w grze poszczególnych artystów, niweczącą wszelki styl reprezentacyi. Nie można przecież tolerować tego, by jeden szedł do Sasa, a drugi do lasa, to są przecież rzeczy niemożliwe — i niepraktykowane nigdzie na żadnej scenie europejskiej. Toż, u kaduka, nie można wiersza, nadto wiersza Słowackiego, mówić tak jak się mówi prozę z „Panny z laleczką!“ Czyż niektórzy aktorzy nasi zatracili już wszelki zmysł i poczucie dla muzyczności i rytmu wiązanej mowy, czyż nie zdawają sobie sprawy z tego, że odzierając wiersz Juliuszowy z jego wibracyj subtelnych, okradają niegodnie poetę z bardzo istotnej, wielce integralnej części jego sztuki przedziwnej?

Także rozdanie ról niezupełnie było szczęśliwe. Czy naprawdę nie było w personelu artystycznym stósowniejszej reprezentantki dla roli Idalii? Czyż p. Wiśniarowska była jedyną wybraną, która dorosła, a raczej nie dorosła temu trudnemu zadaniu?

Także sam benefisant, mojem zdaniem, nie ocenił należycie swych warunków, jeżeli sądził, iż w roli tytułowej da to, co Niemcy nazywają „ein Cabinetstück.“ Była to jednak kreacya o całe niebo wyższa niż to, co nam zaprodukowała p. Wiśniarowska. Pan Czerniak był poprawny jako Respekt. To samo należy powiedzieć o grze p. Karskiej. Bardzo dobry typ stworzył p. Czaki w epizodycznej roli ks. Logi. Również p. Zielińskiej należą się słowa uznania i zachęty za dobrą i pełną wdzięku grę jako Stella. Nie na miejscu była p. Bednarzewska jako Dyana, nie dla tego, żeby jej grze można cokolwiekbądź zarzucić, lecz z tego powodu, że powinna była objąć rolę właściwszą dla siebie, a którą brak pietyzmu dla Słowackiego radził umieścić jaknajniestósowniej. O kreacyi p. Werowskiego (major) tylko najpochlebniej wyrazić się mogę. Pragnąłbym to samo powiedzieć o grze p. Bogusińskiego (Rzecznicki), lecz nie mogę się zgodzić na sposób, w jaki traktował wiersz Słowackiego. Bez zarzutu wywiązał się z zadania p. Borowski jako Jan.

Publiczność niestety nie dopisała tak jakby tego tak ze względu na przedstawioną sztukę jak i osobę benefisanta życzyć należało.

Pan Kęcki należy bowiem do najzdolniejszych i najsympatyczniejszych artystów naszego teatru i zasłużył sumienną pracą artystyczną na pełne uznanie publiczności. To też tylko równoczesnemu koncertowi, na którym wykonano „Pieśń o ziemi naszej,“ przypisać należy, że teatr nie zapełnił się po brzegi. Wszakże gorące owacye, jakiemi obdarzono artystę, dały mu zasłużoną moralną satysfakcyę, lubo nie zdołały wyrównać doznanego materyalnego zawodu.

* * *

„Panna z laleczką“.

Po „Fantazym“ pisać o Leona Falla ordynarnej i banalnej operetce do przyjemności nie należy. „Panna z z laleczką“ — to bardzo a bardzo tuzinkowy towar. Pierwszy akt nudny jak flaki z olejem. Dalsze ożywiają się nieco, niestety nie bardzo wytwornemi scenami. Także pod względem muzycznym rzecz ta dużo pozostawia do życzenia.! Przedewszystkiem uderza ubóstwo melodyj tudzież niezmierna płytkość i bezbarwność orkiestralnego pierwiastka.

Tytułową partyę śpiewała p. Barwińska małym, niewyrobionym głosikiem. Gra artystki także nie była przepojona tym temperamentem i werwą, która w operetce jest niezbędna.

Większe powodzenie, przedewszystkiem co do aktorskiej, powiedzmy raczej komedyanckiej strony zadania, miała wieczyście tremolująca i uspodeńkowana — na scenie oczywiście — p. Celińska. Również parą obrzydliwych i śmiesznych inekspryrnabli mogła zabłysnąć p. Palczewska oczom obrażonej w swych najistotniejszych uczuciach estetycznych publiczności. Nie wiele lepiej prezentowała się galerya tancerek w jupe-culotach. Natomiast pani Faliszewska wyglądała w swych „pumphozach“ ładnie i jeszcze ładniej tańczyła. Z mężczyzn pp. Miłosza, Kosiński, Zakrzewski uszczknęli listek bobkowy, przedewszystkiem zaś p. Justian, który w komicznej roli starego lowelasa wdzięczne znalazł pole popisu.

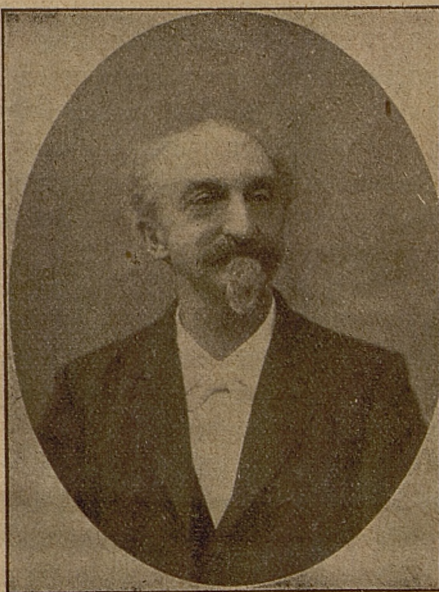
Operetkę wćwiczył i dyrygował p. Mieczysław Eichstaedt. Rzecz toczyła się sprawnie we właściwem tempie i z werwą należytą.

Mowa tu o poniedziałkowem przedstawieniu. W czwartek pójdzie „Panna z laleczką“ po raz trzeci i to na benefis p. Miłoszy. Życzę mu wszelkiego powodzenia. Co do mnie, to żadna siła ludzka nie sprowadzi mnie na przedstawienie. Widziałem raz w życiu „Pannę z laleczką,“ a i to było... za często.

R.

„Pieśń o Ziemi naszej.“

Koncert złączonych chórów okręgu V. poznańskiego Kół Śpiewackich, odbył się, jak zapowiedziano, pod batutą dyrygenta związkowego p. Bartkiewicza z Ostrowa z współudziałem solistów pp. prof. Bursy z Krakowa, Różańskiego z Berlina i Jóźwiaka z Poznania, — na wielkiej sali Lamberta w ubiegłą sobotę. Jest to bezwątpienia imponujące dzieło muzyczne. Na estradzie stanęło przeszło stu śpiewaków, którym przygrywała orkiestra z Trzebnicy, wykazując doskonałe wyszkolenie, a z trudnego zadania wywięzując się najzupełniej. Utwór jak na stosunki nasze wypadł nieźle, pominąwszy niektóre małe niedomagania. Publiczność zebrała się bardzo licznie. Sędziwemu twórcy „Pieśni o Ziemi naszej“ p. Bolesławowi Dembińskiemu wyprawiła publiczność szczerą owacyę. Ofiarowano mu piękny wieniec laurowy z wstęgami.



Bolesław Dembiński.



Profesor Stanisław Bursa.



Domek Mickiewicza w Kownie.

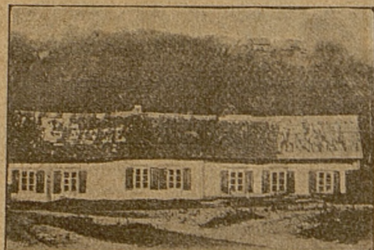
W ostatnim czasie donosiły gazety, że dom, w którym Mickiewicz mieszkał w Kownie, jest do sprzedania. Obecnie „Goniec wileński“ podaje w tej sprawie wiązankę zajmujących szczegółów, przypominając, że „dozorcą“ szkoły powiatowej, gdzie wykładał Mickiewicz, był Stanisław Dobrowolski, który mieszkał w dworku w Kartofliszkach, położonym wówczas tuż za obwodem miejskim Kowna. A dalej tak pisze:

„Że Mickiewicz bywał częstym gościem w dworku w Kartofliszkach, jako stołownik, i że w końcu, po powrocie do Kowna z rocznego urlopu, na początku roku szkolnego 1821 zamieszkał w tym dworku, wiemy od córki Dobrowolskiego, ś. p. Kamilli Woytkiewiczowej, urodzonej w roku 1821 podczas pobytu Adama w Kownie, a zmarłej w majątku Miłoszajcach w pow. telszewskim, dnia 30-go sierpnia 1905 r. Słyszała ona o tem nieraz od ojca swego, jak również i syn jej, a wnuk Dobrowolskiego, żyjący dotychczas w tychże Miłoszajciach, p. Stanisław Woytkiewicz, któremu nieraz o tem opowiadał dziadek. Według nich Mickiewicz miał mieszkać w prawej połowie ówczesnego domu, w której też mieszkał i sam prefekt, a która ocalała do dnia dzisiejszego. Mickiewicz miał duży, widny o dwóch oknach pokój frontowy. W drugiej połowie — lewej, oddzielonej sienią, mieściła się pani Dobrowolska z trojgiem malutkich dzieci. Część lewą w roku 1895 późniejsza właścicielka zburzyła. Wyżej wymienionym osobom zawdzięczamy też wiadomość o lipce, posadzonej w ogrodzie kartofliskim podczas jednej z majówek koleżeńskich, w której uczestniczył Mickiewicz. Ma to być owa uschła już lipa, smutnie stojąca obok wspaniałej topoli.

„Mamy więc do czynienia z tradycyą rodziny Dobrowolskich. Niedawno ogłoszone listy Mickiewicza z

czasów kowieńskich (Kallenbach: Pisma nieznane Ad. M.) lubo zawierają najdrobniejsze szczegóły z życia poety w Kownie, wszakże o mieszkaniu jego u Dobrowolskiego zgoła nie wspominają. Sprawa więc dziś jest jeszcze bardziej niejasna, niż była przed odnalezieniem korespondencyi kowieńskiej.“

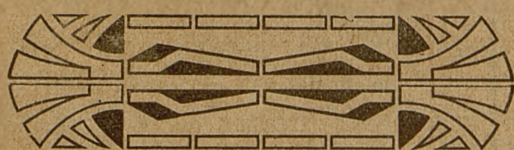
Dalej informuje „Goniec wileński,“ że posiadłość Dobrowolskiego podzie-



Dworek na „Kartofliszkach“ w Kownie.

lono w r. 1857 na dwie parcele. Na mniejszej z nich, o przestrzeni 410 sążni kwadratowych, stoją dwa domy, z których jeden ma być „domkiem Mickiewicza.“ Całość tej parceli, należąca do pani Aleksandry Wasiljewowej, przedstawia według zeszłorocznej oceny komisyi szacunkowej wartość 2,070 rb., właścicielka jednak żąda za nią 16,000 rb., obiecując „trochę opuścić,“ a licząc prawdopodobnie na to, że pietyzm polski nie cofnie się nawet przed ceną wygórowaną, byle tylko uratować chylący się już do ruiny dom pamiątkowy.

Wszystko to ostatecznie być może, ale naszem zdaniem należy przedewszystkiem ustalić, czy domek pani Wasiljewowej jest naprawdę „domkiem Mickiewicza,“ bo tradycya rodziny Dobrowolskich nie jest wystarczająca. Dopiero wtedy będzie pora zastanowić się nad tem, czy przystąpić do targu z panią Wasiljewową i jakie, w razie nabycia domku, dać mu przeznaczenie.



Cmentarze amerykańskie.

W żadnym dziale ogrodnictwo amerykańskie nie jest tak oryginalnem i tak różnem od ogrodnictwa europejskiego, jak w urządzeniu cmentarzy. Od drugiej połowy ubiegłego stulecia zakładano w Ameryce cmentarze na podobieństwo parków. Z biegiem czasu ta nowość amerykańska zainteresowała europejskie ogrodnictwo i dzisiaj ma już naśladowców na starym kontynencie.

Cmentarze-parki są piękne i zdrowotne, a te ich zalety przekonały Amerykan, że w całym kraju warto takie cmentarze zakładać. To też dzisiaj w całej Ameryce zakłada się tylko takie. Znajdują się jeszcze tu i owdzie w Ameryce dawne cmentarze, podobne zupełnie do europejskich, ale są to ślady przeszłości.

W 1825 roku, John Bigelow, lekarz bostoński, autor dzieła „Florula Bostoniensis“, pierwszy zwrócił uwagę na korzyść urządzenia cmentarzy za miastem w miejscowościach oddalonych, o malowniczem położeniu. Agitacya Bigelow'a miała powodzenie. W 1831 r. zawiązało się towarzystwo w celu urządzenia podobnego cmentarza w Mount Auburn pod Bostonem, podług planu, sporządzonego przeważnie przez Bigelow'a. W pięknej i malowniczej okolicy, w dali od gwaru i huku miasta, cisza, przepełniona uczuciem szacunku dla zmarłych, miała otaczać miejsce wiecznego spoczynku. Jakże różni się ten cmentarz od dawnych cmentarzy, rażących bądź co bądź zaniedbaniem, gdzie groby były obficie zielskami porosłe, a zmurszałe nagrobki przypominały śmierć i zniszczenie.

Dalej rzędy gołych pagórków ziemi i mogiły, niemniej przykre i ponure robiły wrażenie. A najprzykrzejszą była myśl, że i tu zmarli nie mają zabezpieczonego spokoju, lecz ustąpią innym, którzy znowu zaledwie na pewien czas spokój w tej ziemi znajdą.

Malownicza, spokojem i ciszą tchnąca miejscowość w Mount Auburn wywierała na tych, którzy odwiedzali swych drogich zmarłych, wpływ wielce łagodzący i kojący smutki. Widok tego cmentarza pocieszał smutnych, jak łagodna postać Anioła Pokoju, symbolu śmierci. Jakże odmiennem jest to wrażenie od nastroju, wywołanego wyobrażeniem kościotrupa z kosą, który może doskonale symbolizować zaniedbany miejski cmentarz.

Kiedy zakładano cmentarz w Mount Auburn, nowy kierunek ogrodnictwa pejsażowego był niewiele znany w Ameryce. Dla tego też wtedy starano się przedewszystkiem o zakładanie cmentarzy nie w pobliżu miast, lecz w cichych i spokojnych wiejskich okolicach i nazywano je cmentarzami wioskowymi (Rural Cemeteries). Myśl urządzania cmentarzy zupełnie na podobieństwo parków, urzeczywistniła się po raz pierwszy w cmentarzu „Spring Grove“ w Cincinnati. W r. 1852 Adolf Strauch, ówczesny superintendent tegoż cmentarza, przekształcił go na park, dając tym sposobem pierwszy wzór cmentarza w stylu parkowym, naśladowany później przy zakładaniu innych cmentarzy w Ameryce. Na podobny cmentarz wybiera się grunt tak oddalony od miasta, że nawet w przeciągu dość długiego czasu nie można przewidywać zabudowania go domami lub fabrykami. Chodzi bowiem o to, aby cmentarz taki jaknajdłużej pozostał w oddaleniu od miasta. Wielkość gruntu potrzebnego na cmentarz zajmuje 50—100 hektarów, często nawet więcej (zależy zresztą od warunków miejscowych). Co do gruntu, to o ile to jest możliwem, wybiera się jak najlepszy, ażeby roślinność lepiej rozwijać się mogła. Położenie gruntu faliste i nierówne uważa się za najodpowiedniejsze, a to z wielu względów, z których dość ważnymi są te, że łatwiej jest z podobnej miejscowości odprowadzić zbytnią wodę. Łatwiej, również pejsażowo, ją wyzyskać, gdyż położenie takie umożebnia urządzenie oddzielnych, zamkniętych w sobie części parkowych. Tym sposobem unika się zbytniego nagromadzenia grobowców i pomników. Nadto, grunt podobny, bardzo często jest tańszy a jako mniej nieraz zdatny do uprawy, posiada niekiedy pewną liczbę drzew, które, o ile to możebne, pozostawia się.

Większe cmentarze amerykańskie nie są jak gdzieindziej, własnością gmin, lecz należą zwykle do towarzystw właścicieli grobów. Kto kupuje grób, staje się zarazem członkiem towarzystwa, ma prawo głosu we wszystkich jego sprawach i przyjmuje udział we wszystkich jego pracach.

Właściciel grobu nie może być pod żadnym pozorem z posiadłości tej wywłaszczonym, a miejsca zajęte przez groby, nie mogą być przeznaczone na inne cele użyteczności publicznej. Właściciel grobu nie ma prawa sprzedawać tej posiadłości, a po jego śmierci prawa jego przechodzą na spadkobierców.

Z opłaty za rozprzedane miejsca na groby i za utrzymanie ich w porządku, i z innych podobnych dochodów amortyzuje się wyłożony kapitał. Chcąc ozdobić groby, właściciele ich obowiązani są stosować się do przepisów estetycznych, stosowanych na danym cmentarzu. Na starych cmentarzach panowała pod tym względem dowolność, a każdy mógł grób krewnego według upodobania obsadzić kwiatami lub drzewami i ozdobić pomnikami lub grobowcami. Gdy w połowie zeszłego stulecia zakładano cmentarze-parki na wzór cmentarza w Cincinnati, przekonano się, że koniecznem jest przy ozdabianiu grobów stosować się do pewnych estetycznych

przepisów dla nadania całemu cmentarzowi pięknego wyglądu.

Aby mieć na cmentarzach dużo trawników i łatwo je utrzymać w porządku, postanowiono zaniechać zwyczaju urządzania wzniesień nad grobami i pozwolono je urządzać do wysokości 10 cm. ponad ziemią. Na niektórych wzbroniono obsadzać groby kwiatami, na innych dozwolonem jest niekiedy otaczać grób niewielką ilością kwiatów. W zamian tej ozdoby ustawiają na grobach wazy przybrane kwiatami. Ponieważ z każdego miejsca taki park-cmentarz powinien przedstawiać piękny widok, a zbytnie nagromadzenie pomników byłoby przeszkodą dla wzroku przechodniów, należało i w tym względzie poczynić pewne ograniczenia. To też wolno na każdym grobowcu rodzinnym stawiać tylko jeden pomnik a oddzielne groby oznaczać tylko kamieniami wystającymi nieznacznie na trawnikach z odpowiednimi napisami. Grobowce i pomniki są różnej wielkości. Miejsce wiecznego spoczynku oznaczają zwyczajne kamienie i najwspanialsze mauzolea, których budowa kosztowała miliony. Obok niewielkich grobów widzieć można i olbrzymie, zajmujące przestrzeń paru arów. Zwierzchność cmentarza ma prawo wzbronić stawiania pomników z nieodpowiedniego materyału. Na niektórych zwracaną bywa uwaga na estetyczność większych pomników, pragnąc, aby były oryginalnemi dziełami artystycznemi. Przytaczam tutaj treść kilku przepisów, opracowanych w Bostonie przez zgromadzenie superintendentów amerykańskich. Określają one atrybucye zarządów cmentarzy i prawa właścicieli grobów:

1) Zarząd cmentarza pozostawia upiększanie grobów gustowi właścicieli, zachowuje jednak dla siebie prawo decydowania o pięknym wyglądzie całego cmentarza. Dla tego też zwierzchność może zabronić ustawienia pomnika, wzniesienia budowli, nawet położenia zwykłego kamienia, o ile z tego powodu ucierpiałby piękny wygląd cmentarza. Może zabronić sadzenia drzew i krzewów przy grobach, a na usunięcie lub przycięcie rosnących już drzew i krzewów przy grobach, właściciele winni uzyskać pozwolenie zarządów cmentarzy.

2) Gdy właściciele grobów zamierzają wykonać jakiekolwiekbądź roboty na grobach, obowiązani są uzyskać na to pozwolenie od zarządu cmentarnego. Tylko rzemieślnicy, zamówieni przez zarząd, wykonywują roboty, jedynym wyjątkiem są mularze.

3) Po otrzymaniu pozwolenia zarządu, wolno ustawiać na grobach przedmioty żelazne, druciane, siedzenia i wazy. Gdy rdza rozpoczyna pokrywać takowe, należy je bezwarunkowo usunąć z cmentarza.

4) Wzbrania się otaczać groby ogrodzeniami, granice grobowców oznaczają kamienie narożne, nie wystające nad poziom ziemi.

5) Tylko rodzina i krewni właściela grobowca mogą być w nim pochowani.

6) Wszelkie fundamenta pod pomnik, płyty grobowe itd. wykonują się przez zarząd na koszt właściciela grobu. Należy zawiadomić zarząd o projekcie robót na 2 tygodnie przed ich rozpoczęciem i zaraz zapłacić ich koszt.

7) Przed ustawieniem na grobach pomników lub płyt, zarząd ogląda je i decyduje, czy mogą być ustawione na cmentarzach. Gdy pomniki, płyty i nadziemne części sklepu grobowego są zrobione nie z ciosowego kamienia lub bronzu, lecz z sztucznego materyału, zarząd zabrania umieścić je na cmentarzu. Plany na budowę sklepów grobowych winny być przedstawione zarządowi do zatwierdzenia. Klauzula ta ma na celu uchronienie cmentarza od brzydkich i nietrwałych budowli.

Wogóle zarząd dba bardzo o artystyczny wygląd cmentarza. Gdy właściciele grobów chcą umieścić tutaj kosztowne i artystyczne mauzolea, zarząd stara się nawet do pewnego stopnia nie stosować do przepisów, gdyż ma na względzie wielkie przyozdobienie cmentarza. Na cmentarzach amerykańskich mniejsze nagrobki znajdują się w oddalonych, zadrzewionych częściach cmentarza. Duże i piękne pomniki są na obszernych trawnikach tak zręcznie rozstawione, że nie zasłaniają widoku na cmentarz w tym punkcie. Myślano nawet o zakazie stawiania pomników na cmentarzach, lecz publiczność amerykańska była temu przeciwną. Więcej słusznem było żądanie usunięcia kwietników i wogóle kwiatów. Istotnie, jaskrawe barwy kwiatów nie harmonizują z powagą cmentarną. Zresztą kwiaty trwają krótki przeciąg czasu, a groby na cmentarzu są pozbawione tej ozdoby w ciągu kilku miesięcy. Dla tego też na wielu cmentarzach nie ozdabia się grobów kwiatami, zastępując je grupami roślin liściastych, a na niektórych i tych roślin niema. Budynki cmentarne znajdują się zazwyczaj blizko bramy i nie tworzą kontrastu z ogólnym widokiem. Są to skromne, lecz gustowne budowle, tworzące harmonię z miejscem wiecznego spoczynku. Brama cmentarna znajduje się zazwyczaj na uboczu, o ile to możebne, w oddaleniu od publicznej drogi.

W Europie, jak mówiliśmy na początku naszego opisu, urządzenie amerykańskich cmentarzy wywołało naśladownictwo.

U nas nikt o tem jeszcze nie pomyślał. Cmentarze nasze są niewielkie, przepełnione pomnikami różnej wielkości, drzewa i krzewy są tutaj jakby dodatkiem do tych kamiennych i murowanych pamiątek i krzyży.

O przekształceniu ich na modłę amerykańską myśleć nawet nie należy, gdyż ludność nasza jest niezmiernie przywiązana do tych swych zaniedbanych cmentarzy. Przytem na cmentarz-park trzeba zająć duże obszary gruntu, którego cena jest dosyć wysoką i ta okoliczność powstrzymałaby każdego śmiałego nowatora (gdyby się notabene pojawił) od kosztownych projektów. Pożądać więc należy tylko starannego utrzymywania dzisiejszych naszych cmentarzy, mamy też wyjątki, gdzie cisza wiekuistego odpoczynku zmarłych łączy się z pięknością roślinności i z artyzmem jej układu.

Jotwe.

Nasze ryciny.

Jan Matejko: „Ogłoszenie Konstytucyi Trzeciego Maja 1771 r.“

Reprodukcya ryciny albumowej obrazuje świetną chwilę dziejową tak pięknie przedstawioną na płótnie przez mistrza naszych malarzy: ogłoszenie Konstytucyi Trzeciego Maja 1791 r.

Dzień 3-go Maja 1791 r. zapisał się w dziejach naszych i w duszach potomnych niezatartemi głoskami jako tryumf patryotyzmu nad stronniczością, jako święto jedności i łączności narodowej. Duch narodu polskiego wystawił sobie w tej konstytucyi wspaniały pomnik.

* * *

Z wystawy Artystów Warszawskich w Salonie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych

zamieszczamy w niniejszym zeszycie jeszcze sześć reprodukcyj następujących obrazów: Józefa Ryszkiewicza „Na smutną nutę,“ Alfreda Wierusza - Kowalskiego „Legendę: Beduini,“ S. Celińskiego „Śwista - Pośwista,“ H. Piątkowskiego „Portret pani A. S.,“ E. Trojanowskiego „Kazimierz nad Wisłą,“ E. Wittiga (rzeźbę) „Mężczyznę i kobietę.“

Opis powyżej wymienionych obrazów jest zamieszczony w zeszycie 15-tym na stronie 460 i 461-szej w artykule p. t. „Wrażenia z wystawy artystów warszawskich. II.“

KRONIKA.

— Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowała się tylko gazeta polska, bo tylko polska gazeta jest prawdziwą przyjaciółką domu polskiego.

— Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych,** zastępujących telegramy, wpłynęło w dalszym ciągu do kasy razem mrk. 16 fen. 40.

Zaznaczamy, że tylko z tych telegramów dochód przeznacza się na cele dobroczynne.

— **Kresu swego dobiega wnet wystawa artystów warszawskich** w salonie Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych przy ul. Bismarka 8., o której to wystawie nawet na łamach prasy niemieckiej pojawiły się interesujące feljetony. Kto wystawy dotąd nie zwiedził, niech do salonu T. P. Sz. P. podąży bezzwłocznie. Wystawa otwarta w dni powszednie od 10-tej do pół do 2 giej i od pół do 3-ciej do 6-tej, w niedzielę od pół do 12-tej do 4-tej. Katalog ilustrowany.

— **Wystawa wiosenna** „Stowarzyszenia artystów (ulica Bismarka 8, w ogrodzie) otwartą została w niedzielę w obecności licznie zebranych artystów, przedstawicieli prasy i publiczności. Tegoroczny salon wiosenny przedstawia się okazale, zawiera bowiem dzieła wybitnych artystów warszawskich, krakowskich, lwowskich i poznańskich, pomiędzy niemi: Włodzimierza Tetmajera, Maryana Puffkego, Antoniego Gramatyka, Gustawa Gwozdeckiego, Michała Wywiórskiego, Kazimierza Szmyta, Wł. Zamiara, J. Graczyńskiego, St. Sonnewendta, Bagieńskiego, Cieślewskiego, Arendtówny, Karola Wierusz Kowalskiego, Konopnickiej, Kopczyńskiego, Kremerówny i Pronaszki.

Wystawa ta daje pogląd na rozmaite prądy i kierunki panujące w polskiem malarstwie współczesnem. — Zachęcamy do licznego zwiedzania. Wstęp 25 fen.

Członkowie mają wstęp wolny. Wystawa otwarta od 10-tej do 6-tej.

— **Wynalazki.** Pan L. Szuda, właściciel parowej cegielni i tartaku w Strzelnie, otrzymał w tych dniach od cesarskiego urzędu patentowego w Berlinie znaczek ochronny na wynaleziony przez siebie przyrząd do osuszania gruntów, przedewszystkiem tam, gdzie spad przy drenowaniu jest niemożliwy, lub w górzystych okolicach. Pan Szuda otrzymał również znaczek ochronny na przyrząd ułatwiający wciąganie wózków z gliną pod górę, ażeby wózek natychmiast się zatrzymał, gdy zerwie się lina lub łańcuch.

— **Toruń.** Tutejsze Towarzystwo śpiewu „Lutnia“ urządza dnia 7-go maja r. b. na sali Muzeum koncert artystyczny z łaskawym udziałem pań: Rogalińskiej, artystki śpiewaczki z Poznania, L. Dubiskiej, pianistki z Berlina i Dubiskiej młodszej, skrzypaczki z Berlina. Początek o godzinie pół do 9-tej wieczorem.

O liczny udział Szan. Obywatelstwo Torunia i okolicy uprasza

Zarząd.

— **Lwów. Pan Michał Kolasiński,** Poznańczyk, obchodził w niedzielę, 23-go kwietnia r. b., 30-letni jubileusz w zawodzie drukarskim. Liczne towarzystwa, przyjaciele, koledzy i znajomi nadesłali czcigodnemu Jubilatowi serdeczne życzenia.

— **Drezno Löbtau.** Tutejsze Towarzystwo Strzeleckie urządza w trzecią rocznicę założenia w niedzielę, dnia 21-go maja r. b. o godzinie 7-mej wieczorem, w sali Walhalle Freibergerstr. 69. (Dresden Altstadt) przedstawienie teatralne, na które Szanownych Rodaków z Drezna i okolicy uprzejmie zaprasza niżej podpisany Zarząd. Mamy nadzieję, że Polonia tutejsza stawi się jak najliczniej, tembardziej, że Towarzystwo nasze nie szczędziło trudów i kosztów, aby tylko kochanym Rodakom każdą chwilę między nami spędzoną zawsze jak najlepiej uprzyjemnić.

Zarząd: W. W. Kapczyński, sekr.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. kanonik Gustaw Wanjura,** doktor św. teologii, protonotaryusz apostolski, proboszcz katedralny poznański, zmarł dnia 22-go b. m., przeżywszy 84 lata.

Urodzony w r. 1827 na Śląsku, jak sam powiadał, z hugenockiej rodziny van Yur, które to nazwisko przez fałszywe zapisanie w księgi zmieniono na Wanjura, otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1851.

Zamianowany później szkolnym radcą regencyjnym w Zachodnich Prusach, przeniesiony został podczas walki kulturnej do Poznania na stanowisko proboszcza kapituły poznańskiej, które rząd obsadza. Chociaż sam z rodu nie był Polakiem, życzliwym i przychylnym był nam nadzwyczajnie, a światła i wytrawna jego rada przyczyniła się w wielu wypadkach do przeprowadzenia różnych zatargów z rządem na naszą korzyść. Po polsku mówił dobrze i zawsze tym tylko posługiwał się językiem.

W zmarłym traciny męża prawego charakteru i cnót wielkich. Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

† **S. p. ks. Adam Józefowicz.** Dnia 24-go b. m. rano o godzinie 5-tej umarł w Kościeszkach ks. Adam Józefowicz, proboszcz kościeski w 41-szym roku życia. Ubył dobry kapłan i pilny pracownik na niwie społecznej.

Ś. p. ks. Józefowicz urodził się 17-go grudnia 1870 roku w Krotoszynie z małżonków Józefa i Pauli z Malinowskich. Nauki gimnazyalne pobierał w Krotoszynie, następnie absolwował seminaryum duchowne w Poznaniu, a pierwszą mszą św. odprawił w Gnieźnie dnia 11-go lipca 1896 roku. W pół roku później otrzymał prezentę od p. Józefy Żakowskiej na probostwo w Kościeszkach. Tam też dokonał swego żywota.

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

† **Ś. p. Józef Ozdowski,** były dziedzic Murzynowa kościelnego, dnia 19-go b. m. w Poznaniu w 73-cim roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 24-go b. m. w Murzynowie kościelnem. — **Ś. p. Hieronim Jasiński,** dnia 19-go b. m. w Pakości. — **Ś. p. Eleonora Janicka,** dnia 18-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Barbara z Tłoczyńskich Kayser,** dnia 19-go b. m. we Wronkach, przeżywszy lat 84. — **Ś. p. Kazimierz Kurpisz,** b. dyrektor Banku melioracyjnego, właściciel ziemski, dnia 14-go b. m. we Lwowie. — **Ś. p. Teodor Karłowski,** dnia 19-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 77. — **Ś. p. Franciszka z Kaliskich Grupa,** dnia 20-go b. m. w Turzanach. Pogrzeb odbył się dnia 23-go b. m. w Inowrocławiu. — **Ś. p. Teofila z Chojnackich Romatowska,** dnia 20-go b. m. w Toruniu, przeżywszy lat 53. — **Ś. p. Antonina z Maderskich Ordon,** dnia 21-go b. m. w Bierzglowie w Prusach Zach. w 65-tym roku życia. — **Ś. p. Julian Kaliszewski,** dnia 21-go b. m. w Bobowie w Prusach Zach. w 37-mym roku życia. — **Ś. p. Janina Poplińska,** dnia 25-go b. m. w Nadziejewie pod Środą. — **Ś. p. Franciszek Lievre,** dnia 23-go b. m. w Gladbach. — **Ś. p. Karol Strzeliński,** dnia 24-go b. m. w Ochodzy pod Gościeszynem. Pogrzeb odbył się dnia 27go b. m. w Strzyżewie kościelnem. —**Ś. p. Walenty Brykczyński,** dnia 24-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 78 lat. — **Ś. p. Teodor Sterz,** prymaner, dnia 20-go b. m. w Bysławiu w Prusach Zach. — **Ś. p. Michał Mikołajczak,** dnia 25-go. b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 57. — **S. p. Piotr Nowicki,** dnia 25-go b. m. w Gnieźnie w 77-mym roku życia — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Arturowi Wł. Km.** — Wierszyk nadesłany nie nadaje się do zamieszczenia w „Pracy.“

— **Czytelnikowi na obczyźnie.** — Wszystkie nasze większe banki dają pewną gwarancyę. Radzimy ulokować oszczędności w Banku Przemysłowców w Poznaniu.

— **„Samoukowi.“** — Idea to obraz, jaki wytwarzamy w sobie o rzeczy przejętej zmysłami, jest to więc wyobrażenie, a w szerszem słowa znaczeniu myśl — nowa, twórcza myśl. Ideał zaś w subjektywnem znaczeniu jest poprostu to, co osobnikowi z jego indywidualnego punktu widzenia wydaje się nadzwyczaj pięknem, dobrem i prawdziwem.

— **Panu Antoniemu S. na prowincyi.** — Że sąsiadowi Szan. Pana zaczęły z nastaniem wiosny wykwitać różyczki na nosie — obchodzi nas tyle, co śnieg zeszłoroczny.

— **„Ukrytemu.“** — Kpnia z rzędem, kto to zrozumie. Takich zaś zagadek z ukrytem żądełkiem osobistem, nie pomieszczamy.

Nowe książki i treść pism.

— **Ks. Dr. Kazimierz Zimmermann:** „Ks. Patron Wawrzyniak.“ Kraków 1911. Druk W. L. Anczyca i Ski. Nakład autora.

O monografii tej, pochodzącej z pióra powołanego, rozpiszemy się obszerniej w następnym zeszycie „Pracy.“ Już dzisiaj polecamy piękną tę publikacyę jak najgoręcej.

WIOSNA IDZIE.

Wiosna idzie — wonią, gwarem,
Już w wietrzyka drga powiewie,
I otula ziemię czarem,
I wybucha w ptasząt śpiewie.



Wiosna idzie.

Ziemia ze snu już powstaje,
W dal rozwiewa się tęsknota,
Mgły się wznoszą ponad gaje,
W sercu ufność i ochota.

Już nadchodzi, płynie, bieży,
Jak królowa, jak bogini,
Swoim wzrokiem — blaski szerzy,
Swym oddechem cuda czyni.

Przed nią gońców śpiewnych rzesze,
Mkną szybując zwinnym lotem,
Bocian zasiadł już na strzesze,
Ciesząc ludzi swym klekotem.

Przed nią — ptasząt korowody,
Jaskóleczki jej paziki,
Jej marszałkiem żóraw młody,
Śpiewakami — są słowiki.

Idzie, idzie, — w mgły owiana,
Darząc ziemię swą pieszczotą,
W srebrnych rosach wykąpana,
Upowita w słońca złote.

Błękit jasny ma nad głową,
Pod stopami mchów zieloność,
Rozpraszając mgłę zimową,
Idzie — idzie — w nieskończoność.

Wiosna, czarów cudna chwila,
Co za każdem wiatru tchnieniem,
Z pąka — nowy kwiat rozchyla,
Brzmiąc radosnem upojeniem.

Wiosna, wiosna, — z snu i ciszy
Budzi w koło ziemię całą,
Rozmarzeniem wszystko dyszy,
Wszystko nowy strój przybrało.

Pługi krają ziemi łono,
Zapachniała czarna rola,
Skowroneczek pieśń natchnioną,
Wzniósł nad sioła i nad pola.

Żółte bażki na wierzbinie,
Dookoła zapach niosą,
Kępką rosną hen w gęstwinie,
Niezabudki lśniące rosą.

Nad błękitnej wody zdrojem,
Złote muszki chórem brzęczą,
I motyle lecą rojem,
O skrzydełkach tkanych tęczą.

Zawitała już królewna,
Z całym świetnym swym orszakiem,
Zawitała jasna, śpiewna,
Mknąc barwistym wonnym szlakiem.

Wiosno, poro snów i szałów,
Poro marzeń — i dążenia,
Do promiennych ideałów
I do uczuć upojenia.

Niesiesz ziemi pieśń radosną,
I przystrajasz ją godowo,
Budzisz serca — uczuć wiosną —
Nowem życiem, siłą nową.

Irena Piskorska.





Bezwzględność.

Bezwzględność jest mniej lub więcej brutalnością. Rozpychając łokciami szuka miejsca i depcze wszystko, co jej w drodze stoi i dalej iść przeszkadza. Obcowanie z ludźmi bezwzględnymi jest dla ludzi, delikatne mających uczucie, przykrem i wprost przygnębiającem — muszą bowiem zawsze ustępować i schodzić z drogi, nie umiejąc lub nie chcąc równą walczyć bronią.

Istnieje jednak jeszcze pewien rodzaj uprzejmej i łagodnej bezwzględności, którą sobie przyswajają ludzie uczuciowi. Muszą to nawet uczynić dla uchronienia ich własnego „ja“ przed bezwzględnością innych. Nie zaczepiają oni nikogo, bronią się raczej i opędzają żądaniom ludzi brutalnych, szkodzącym im i nie przynoszącym nikomu użytku. Takie „dobre“ i „uprzejme“ bezwzględności spotykają nas na każdym kroku.

Mamy naprzykład dużo zajęcia — czas nasz bardzo jest ograniczony, a inni zabierają nam go systematycznie. Gdyby żądali pomocy lub rady — w takich razach powinniśmy im służyć we dnie i w nocy, chociażby z największem poświęceniem, ale nie! Przychodzą na gawędkę, chociaż wiedzą, że pilną mamy pracę. Nudzą się, nie mając zajęcia, więc odwiedzają nas „na kilka minut“ i zabierają godziny! Właściwie należy się także być „bezwzględnym“ — przeprosić nieproszonych gości i zamknąć im drzwi przed nosem. Otwartość jest w takim razie najwięcej na miejscu.

Inni wtrącają się znowu — także nieproszeni, i niepowołani, w nasze sprawy familijne, w nasze stosunki domowe i osobiste — słowem we wszystko, co ich absolutnie obchodzić nie powinno. Po co znosić to spokojnie i gniewać się w duszy na nieupoważnionych doradców? Na taką bezwzględność równą powinniśmy odpłacić monetą — zawsze grzecznie, lecz otwarcie i stanowczo. Tylko, że nieproszeni i bezwzględni doradcy bardzoby się zdziwili — wszakże mieli tylko nasze dobro na celu!

Wolno być bezwzględnym wtedy tylko, gdy chodzi rzeczywiście o to, aby innym pomódz lub coś dobrego wyświadczyć. Lecz trzeba przytem postępować nadzwyczaj ostrożnie i taktownie, tak, aby się nasza „uprzejma“ bezwzględność nie zamieniła w brutalną i niepożądaną. Ludzie, mający poczucie delikatności, potrafią zawsze znaleść odpowiedni ton i wiedzą, jak postępować należy.

Empa.



Walka z gruźlicą.

Tak w życiu jednostek, jak i w życiu społecznem widzimy często, że sprawy pomniejsze wysuwają się na pierwszy plan, podczas gdy kwestye ważne i zasługujące na uwzględnienie są jakby zapomniane.

Oto przykład najlepszy: najgroźniejszą chorobą, trapiącą ludzkość od wieków i pochłaniającą rok rocznie ogromną ilość ofiar — jest *gruźlica;* wobec niej bledną największe epidemie cholery, wzbudzające taką panikę ogólną! Gdy na wszystkie choroby — a liczba ich jest *legion* — przypada zaledwie trzy czwarte części ogólnej cyfry śmiertelności — to na samą tylko gruźlicę umiera w ciągu roku *jedna czwarta część* *). A zatem gruźlica — to prawdziwy bicz ludzkości. Patrzmyż teraz jak gruźlicę traktuje społeczeństwo nasze: z innemi chorobami zakaźnemi walczy i medycyna i ogół cały; przy zjawieniu się ospy, odry, szkarlatyny lub tyfusu wszyscy, nawet najbezpieczniejsi, zachowują pewne środki ostrożności w celu uniknięcia zarazy i tylko względem jednej gruźlicy, jesteśmy zupełnie indyferentni, a często nawet wprost lekkomyślni.

A dzieje się tak dla tego, że ogół nasz ma bardzo słabe wiadomości o gruźlicy i jej szerokim rozwoju, że nie wie, jak się od niej obronić i czy, nawet obronić się można? To też **gruźlica** niepowstrzymywana niczem w swym zwycięskim pochodzie szerzy się z przerażającą szybkością, nie oszczędzając ani wieku, ani stanu, ani narodowości.

Ogniskując się przeważnie w klasie biednej, ztąd przechodzi do bogatych; z lepianki lichej — do pałacu wspaniałego, od przeciążonego pracą i mrącego z głodu robotnika do sybaryty — czyniąc wszędzie jednakowe spustoszenia. W wieku dziecinnym, u niemowląt nawet, coraz częściej widzimy objawy tej choroby. I nic, ale to literalnie nic nie czynimy, aby temu złemu zapobiedz. Na zachodzie pojęto już potrzebę walki z gruźlicą oddawna; całe koła społeczne zorganizowały się w tym celu i wkrótce otrzymały zdumiewająco pomyślne rezultaty swej pracy. Czas już więc i nam ocknąć się z dotychczasowej apatyi, czas już poznać wroga naszego wszechstronnie, a poznawszy, wypowiedzieć mu walkę bez litości — na śmierć lub życie!

Ale żeby w walce tej osiągnąć dodatnie wyniki, potrzeba zabrać się do niej z całą energią i powagą, na jaką gruźlica zasługuje.

Wysiłki jednostek nic tu nie pomogą, potrzeba powołać do czynu społeczeństwo całe, wszystkie warstwy jego, potrzeba zjednoczyć się i zorganizować, wtedy dopiero coś zdziałać możemy i zdziałamy z pewnością!

Tylko szerokie omawianie i popularyzowanie potrzeby walki z gruźlicą może obudzić w społeczeństwie chęć do czynu! A popularyzować i nawoływać należy nie tylko na łamach specyalnych organów zdrowia, ale właśnie najwięcej w prasie naszej, tak poczytnej w obecnych czasach.

Nawoływanie do walki z gruźlicą jest obowiązkiem każdego uświadomionego osobnika, ale szczególniej tych, którzy sprawom zdrowia i życia ludzkiego poświęcili się wyłącznie.

Taki jest cel niniejszego mego artykułu.

Gruźlica jest chorobą zaraźliwą; zawdzięczając pracom naukowym dra Kocha, znamy już i bezpośrednią przyczynę choroby, a mianowicie laseczniki tuberkuliczne Kocha. Dostając się w ten lub inny sposób do organizmu naszego, rozmnażają się tam szybko i wywołują rozmaite postacie gruźlicy; ale najczęściej zdarzają się schorzenia dróg oddechowych (suchoty gardlane i płucne) i narządów pokarmowych (suchoty kiszkowe). W tych dwóch formach gruźlica daje najwięcej zaraźliwych wydzielin (plwocina, ekskrementa), przepełnionych lasecznikami Kocha i z tego powodu jest najniebezpieczniejszą dla zdrowego organizmu.

W walce z gruźlicą odróżnić powinniśmy dwa momenty: pierwszy to walka z samym chorym gruźlicznym i jego zaraźliwemi wydzielinami, czyli walka z chorobą, a drugi — zabezpieczenie zdrowych od możności zarażenia się gruźlicą i uodpornienia ich organizmu względem tej choroby.

W pierwszym momencie rzeczą najważniejszą jest *izolowanie chorych gruźlicznych.* Rolę takich izolatorów odgrywają rozmaite sanatorya, pensyonaty lekarskie, specyalne lecznice dla chorych tego rodzaju, letniska, przy-

*) W jednej tylko Europie umiera rocznie od gruźlicy blizko 7 milionów ludzi.



Stokrotka.

tułki itd., tam wydzieliny chorych podlegają zniszczeniu, a sami oni pod opieką lekarską przychodzą do zupełnego zdrowia lub też w wypadkach ciężkich pozostają tu aż do śmierci. Jeżeli zaś chory opuszcza lecznicę, niezupełnie jeszcze wyleczony, to potrafi on tak się zachować wśród otaczających, że nigdy już nie stanie się ogniskiem zarazy.

Zadaniem przeto organizacyi społecznej w walce z gruźlicą jest pomoc przy tworzeniu takich miejsc izolacyjnych, zbieranie funduszów na ten cel, agitacya i uświadamianie.

Ale niestety mała tylko część chorych gruźlicznych lokuje się w takich specyalnych zakładach, gdyż primo — za mało ich jest w naszym kraju, a secundo — są one za drogie i dla tego niedostępne dla chorych niezamożnych, z których przeważnie składa się klientela gruźlicy. Ogromna przeto większość chorych pozostaje w domu przy rodzinie, częstokroć pracując jeszcze, aż do zupełnej utraty sił. Ci to chorzy są najbardziej niebezpieczni dla zdrowia publicznego i na nich potrzeba zwrócić baczną uwagę. Zorganizowane do walki z gruźlicą społeczeństwo musi chorych tej kategoryi otoczyć szczególniejszą opieką, a mianowicie: ciężko chorych, których nie można umieścić w izolatoryach, lokować chociażby w osobnych pokojach wspólnego mieszkania; niszczyć zaraźliwe wydzieliny gruźliczne i zabezpieczać otaczających od zarażenia się lasecznikami.

Nie będę tu mówił o rozmaitych sposobach dezynfekcyi, jakie nam wskazuje nauka, gdyż nie wchodzi to w zakres niniejszej mej pracy, chcę tylko podać niektóre praktyczne wskazówki, niezbędne przy łożu chorego na gruźlicę.

Pierwsze miejsce w rzędzie wydzielin, szerzących gruźlicę, zajmuje *plwocina,* zawierająca w sobie miliardy bakteryj, zniszczenie i unieszkodliwienie jej — jest rzeczą niezmiernej wagi.

Wraz z kurzem plwocina unosi się w powietrzu i łatwo dostać się może do dróg oddechowych; osiadając na rozmaitych przedmiotach otaczających chorego, na produktach spożywczych, na bieliźnie lub ciele przez dotyk palcami, czy też bezpośrednio przenosi się do jamy ustnej i dalej, do żołądka i kiszek, wywołując zarażenie się tych organów; w czasie kaszlu chory gruźliczny swą plwociną, rozpyloną na najdrobniejsze cząstki, może zarazić otaczających go zdrowych ludzi i t. d.; plwocina wyrzucana na śmietniska lub do zlewów — grozi już nietylko zdrowiu najbliższego otoczenia, ale zdrowiu publicznemu.

W jakiż sposób zniszczyć ją możemy?

Najpierw chory gruźliczny nie powinien rozrzucać plwociny na ziemię, podłogę, w chustki lub ręczniki, jak to często widzimy, ale oddawać ją w tuż obok łóżka stojące naczynia z wodą, do której dodają się pewne płyny dezynfekcyjne jako to: karbol, lizol, sublimat i inne. Jest to nakaz konieczny i bezwzględny.

Chory gruźliczny, który jeszcze chodzi lub nawet pracuje, powinien mieć przy sobie zawsze *kieszonkową spluwaczkę* (ze szkła lub tektury) do której oddaje plwocinę. Takie spluwaczki potrzeba udostępnić każdemu choremu, a biednym rozdawać darmo, czem zajmie się również organizacya walki z gruźlicą. Często zdarza się, że plwocinę chorego zbierają, ale zebraną bez żadnego odkażenia wylewają do jam lub zlewów; jest to środek bardzo niedostateczny. Nawet już dezynfekcyowaną w naczyniach plwocinę potrzeba przed wylaniem jeszcze mocniej odkazić jednym z preparatów wyżej wskazanych i dopiero wtedy usuwać, inaczej chorobotwórcze zarazki nie będą pozbawione możności życia i rozmnażania się.

Najlepszy i stosunkowo najtańszy sposób niszczenia plwociny jest palenie takowej w zwykłym piecu; sposób ten możliwym się staje przy użyciu spluwaczek papierowych, które są przesycone masą łatwo palną i wraz z zawartą w nich plwociną szybko się zwęglają. Spluwaczki te kosztują po 2 i pół do 4 fen. sztuka i powinny być usilnie zalecane, jako poważny środek walki z gruźlicą. Lub też można plwociny m szać z suchemi trocinami i w takiej postaci palić do zupełnego zwęglenia.

Dr. A. Tarnawski.

(Dokończenie nastąpi.)

Polaka celem:
Skrucha przed Bogiem,
Mir z przyjacielem,
A walka z wrogiem.
Cześć dla siwizny,
Czyste sumienie,
Miłość Ojczyzny
I poświęcenie.

Władysław Bełza.

* * *

Jeszcze nie było człowieka, któregoby współcześni, albo potomki nie zrozumieli. Tylko młode geniuszki mają się za niepojętych, niewynagrodzonych; ale historya, powołując przed swój opag prace wszystkich wieków, oddaje każdej co się jej należy.

Franciszek Krupiński



Dział kobiecy.

Jak nosić suknie?

Z wiosną ożywia się ruch w dziedzinie mody, a moda ma w sobie coś z natchnień artystycznych i jak każda sztuka, odzwierciadla środowiska i obyczaje.

Przyszły historyk obyczajów dwudziestego wieku odnajdzie zapewne czynniki społeczne, które wywołały zjawienie się w chwili obecnej szarawarów zamiast spódnic. Budzą one odrazę i bunt, gdziekolwiek się pojawią, nawet w Paryżu, gdzie nikt niczemu się nie dziwi i gdzie już oddawna weszły w życie spodenki — w formie kostyumu cyklistek. Ale rzecz inna strój sportowy, używany dla wygody; inna zaś — strojenie się... chciałam rzec, niemal w pawie piórka, bądź co bądź w pióra — nie swoje.

To znamię epoki, w której kobiety pragną dążyć do urn wyborczych. Ową pielgrzymkę pragną odbywać w szarawarach.

A jak trudno będzie je nosić bez obrażania estetyki!

Wogóle trudno jest nosić suknie. Nie dość być ubraną, trzeba wyglądać zgrabnie, wdzięcznie. Pomagają do tego nietylko szwaczka i krawiec -- koniecznym jest współudział osoby, noszącej tualetę.

Więc w pierwszym rzędzie należy się trzymać prosto, bez sztywności i ładnie chodzić. Trudna to sztuka, jak o tem zaświadczają krawcy angielscy.

W czasie uroczystości z powodu koronacyi króla Jerzego ma się odbyć pochód w kostyumach średniowiecznych i nowoczesnych. Otóż, panny sklepowe i subjekci, biorący w nim udział, od czterech miesięcy ćwiczą się w sztuce noszenia strojów i chodzenia.

Tem trudniej stąpać dziś, gdy suknie są obcisłe, krótkie i każdy ruch uwydatnia się i każdy krok widać.

Suknie wizytowe są znacznie dłuższe od spacerowych. Wogóle długie, z trenami ściętemi prosto i — przypinanemi. Ogony stanowią bryt osobny, który można odejmować lub rozkładać. Jest to bardzo praktyczne.

Krótkie stany zaznaczają się w dalszym ciągu nietylko w sukniach, lecz i w żakietach, w paltotach.

Materyały w paski coraz modniejsze; dobra modniarka tworzy z nich różne desenie, krając materyał wzdłuż i w poprzek.

Wraca oddawna już niewidziana forma, tem się różniąca od poprzednich, że jest bardzo krótka i otwarta z przodu, a podłużona frakowo na plecach; dopełniają ją wyłogi, żaboty. Sylwetka damska jest wogóle skrócona, że tak powiem — kusa.

Szreniawa.

* * *

Jarmark mód.

Podczas koronacyi angielskiego króla Jerzego, odbędzie się „Jarmark mód“, na którym wystąpi 30 najpiękniejszych kobiet w strojach i kostyumach.

Myśl jarmarku wyszła od pana Sandowa, pierwszorzędnego londyńskiego krawca damskiego i zyskała odrazu w światku kobiecym wielki poklask. Niestety — wiele dam na próżno cieszyło się perspektywą odznaczenia. Grono ekspertów — którzy podejmują się niewdzięcznego, jak mówią ironicznie humoryści angielscy — wyszukiwania piękności — jest bardzo srogie i wiele wymagające. Dama, której ma przypaść w udziale zaszczyt uczestniczenia w jarmarku, posiadać musi bowiem idealnie rozwinięte kształty — nie mniejsze na milimetr od przepisanej miary. A miara ta jest taka: szerokość w piersiach 63 ctm., obwód w pasie 56 ctm., długość ręki od łokcia 11 ctm. itd. Niezależnie oczywiście od tych wymiarów musi posiadać kandydatka klasycznie piękne rysy i linie twarzy.

Jak dotąd zgłosiło się 300 kandydatek, niestety zaledwie 10 uznano za nadające się do konkursu.

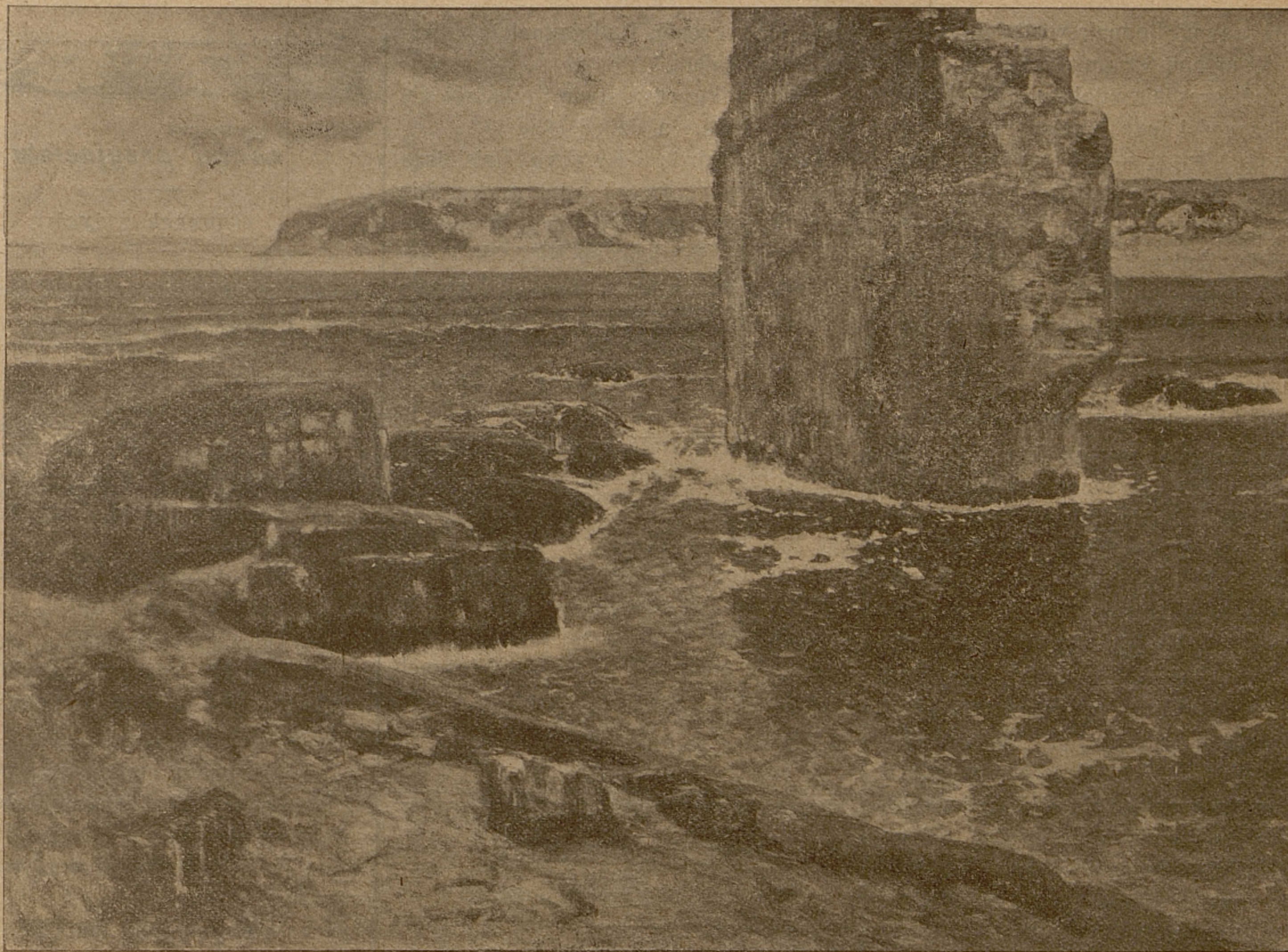
Z ogólnej liczby kandydatek 75 procent odrzucono dlatego, że nie umieją ładnie... chodzić, lub że poruszają się zbyt niezgrabnie. Eksperci, żalą się, że damy dzisiejsze przeważnie nie mają żadnej... gracyi.

* * *

Zawodowy wielożeniec.

W Mińsku-litewskim ujęty został niedawno niejaki Antoni Biełous, który — jak sam oświadczył — ma kilkadziesiąt żon w rozmaitych miastach i wsiach państwa rosyjskiego. Znaleziono przy nim znaczną liczbę paszportów z gminy sieleckiej w powiecie prużańskim w gubernii grodzieńskiej, na rozmaite nazwiska.

W każdem mieście Biełous legitymował się coraz to nowym paszportem, oświadczał się młodym, zamożnym dziewczętom, żenił się, a potem zabierał, co się dało i uciekał, dokąd oczy



Poranek.

poniosły. Miał przytem wszelkie warunki po temu, by się podobać, był młody, przystojny, wesoły, ujmujący.

Dopiero w Mińsku się mu nie poszczęściło.

Przybrawszy nazwisko Bohdanowa, zaczął się starać o młodą panienkę, sierotę, właścicielkę domów w Mińsku. Był przyjmowany bardzo życzliwie, przypadkiem jednak poznała go znajoma jednej z żon, porzuconej w Wilnie.

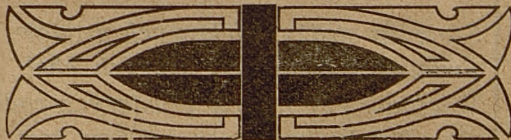
Zaręczyny więc odkładano, tymczasem zaś przy pomocy policyi śledczej sprowadzono z Wilna jedną z jego legalnych żon.

I na tem też zakończyła się karyera życiowa wielożeńca-profesyonalisty.

Jaka ziemia — taka rola,
Jakie życie — taka dola...
Jakie zboże — taki kłos,
Jaki człowiek — taki los...
Wajdelota.

* *

Jedna przestroga. Wciąż zapomnij siebie,
Ucz się z trucizny wydostać słodyczy.
Kielich nektaru i kielich goryczy
Bóg tylko jeden zrównoważy w niebie.
A. Zeligowski



Ofiara polityki.

Księżna Klotylda Napoleonowa, która drugą połowę życia przepędziła zdala od gwaru świata w zamku swym Moncalieri we Włoszech, była żywym dowodem tego, że i w dzisiejszych jeszcze czasach wywierają małżeństwa osób królewskich i książęcych, pewien wpływ na wypadki polityczne i że nawet z małżeństwa młodziutkiej księżniczki krwawa może wyniknąć wojna.

Księżniczka Klotylda Sabaudzka urodziła się w r. 1843 jako najstarsza córka Wiktora Emanuela II., króla Sardynii, późniejszego króla włoskiego i arcyksiężniczki austryackiej Adeli. Mając lat dwanaście straciła matkę. Ojciec jej, „il re galantuomo“ nie wiele się troszczył o nią i o młodsze dzieci, najulubieńszem jego zajęciem było polowanie.

Księżniczkę Klotyldę wychowywały więc damy dworskie i księża, którzy wpoili w nią głęboką religijność, lecz zarazem i uczucie zupełnego zrzekania się wszystkiego, co człowiekowi radość sprawia. Dziecięce zabawy były jej nieznane — lecz wszyscy uważali ją za „prawdziwą świętą!“

Gdy Wiktor Emanuel i minister jego Cavour postanowili z pomocą Napoleona III. wyprzeć Austryaków z Włoch, ułożył cesarz plan taki, że za pomoc udzieloną królowi włoskiemu żąda ręki księżniczki Klotyldy dla swego kuzyna księcia Napoleona. On sam nie uzyskał wzajemności żadnej u córek panujących monarchów — kuzyn jego natomiast, którego matka jako księżniczka wyrtemberska spokrewnioną była z wszystkiemi prawie dworami europejskiemi, mógł na lepsze liczyć przyjęcie.

Ale renoma księcia bardzo była licha. Uchodził za niedowiarka i demokratę, a przygody jego wszelkiego rodzaju —uczyniły go Paryżanom wprost nienawistnym. Z cesarzem nie zgadzał się wcale, z cesarzową jeszcze mniej. Cesarz myślał, że żeniąc go z księżniczką krwi, ułagodzi trochę jego charakter i wprowadzi na drogę rozsądku i obowiązku. Ale królowi Wiktorowi plan ten wcale do gustu nie przypadł. Wymawiał się zbyt młodym wiekiem księżniczki — w rzeczywistości zaś byłby mu każdy inny zięć milszym, niż Na-

poleon! Cavour jednak wiedział, że cesarz nie ustąpi, i namawiał króla tak długo, aż wreszcie zdołał go przekonać o konieczności tego małżeństwa.

I Wiktor Emanuel przyjął Napoleona.

Gdy książę przybył do Turynu, powstał na dworze włoskim ogólny krzyk oburzenia. Żadna z arystokratek nie była na balu, wydanym na uczczenie księcia, a książę Carignan błagał króla, aby cofnął przyrzeczenie. Księżniczka Klotylda jednak poddała się bez ceremonii woli ojca i usiłowała nawet okazać się wesołą i swobodną. Gdy stała obok swego narzeczonego, uśmiechała się i powiedziała jednej z pań, która ją żałowała, że jest bardzo szczęśliwą z wyboru, jaki ojciec dla niej uczynił. Trudniej było panować nad sobą Napoleonowi, który starszy od księżniczki o lat dwadzieścia, nie umiał przybrać miny szczęśliwego narzeczonego. Był roztargniony i niezgrabny, lecz zamiary miał widocznie najlepsze, powiedział bowiem do hrabiego de Reiset, że księżniczka nie powinna go sądzić z jego przeszłości.—„Przeszłość moja zupełnie będzie inną. Postaram się być dobrym mężem!“

Był to jeden z tych zamiarów, jakiemi droga do piekła brukowaną bywa. Niewiele bowiem było pomiędzy książętami małżeństw tak nieszczęśliwych, jak właśnie to.

Już sam wjazd do Paryża młodej pary pod złą odbył się gwiazdą. Mieszkańcy stolicy przyjęli księżniczkę bardzo chłodno.

„Ona wojnę nam przynosi“, tak mówiono ogólnie.

Pomiędzy księżną Klotyldą a cesarzową Eugenią wnet otwarta zapanowała niezgoda. Księżna uważała cesarzową za parweniuszkę, a gdy Eugenia chciała jej raz zwrócić uwagę na jej zachowanie się na balu dworskim, odrzekła księżna wyniośle:

„Nie zapominaj pani, że ja urodzoną jestem na dworze książęcym!“

Serca męża nie umiała jednak p yskać. Nie była piękną i na gwałtowne wybuchy księcia odpowiadała milczeniem i łzami. Renoma jej pozostała nienaganną, lecz unikano jej o ile możności, tak była sztywną i nudną. Lud szanował ją bardzo i podczas kiedy w r. 1870, po ogłoszeniu Rzeczypospolitej francuskiej musiała Eugenia bocznemi uciekać drzwiami i szukać schronienia u dentysty swego, mogła się księżna Klotylda odważyć na wyjazd w własnym powozie, z stangretem i lokajem w cesarskiej liberyi. Pojechała tak na dworzec w samo południe i nikt nie śmiał jej zaczepić. Lud żegnał ją z prawdziwym żalem.

Po upadku cesarstwa rozłączył się książę z żoną, a dzieci ich, książę Wiktor i Ludwik i Letycya, dzisiejsza księżna Aosty, zostali przy matce. Nie było rzeczywiście mniej dobranego małżeństwa, jak księżna Klotylda i Napoleon, to też księżna Matylda, siostra Napoleona, miała słuszność, mówiąc:

„Co, Napoleon i Klotylda? To jak gdyby kto wrzucił dyabła do kropielnicy!“

Z wiekiem stała się księżna jeszcze pobożniejszą. Nigdy może nie przyszło jej na myśl uskarżyć się na swój smutny los, nigdy może nie uczuła się w swej dobroci i pokorze, ofiarą polityki, lecz nigdy też pewnie nie zrozumiała, że gdyby nie była została żoną Napoleona, nie panowałby dziś we Włoszech król Wiktor Emanuel III., tylko Ojciec święty.

M. P.

Pieśń Kresowca.

(Na nutę: Z dymem pożarów.)

Stoję na straży mych ojców ziemi,
Śpiewnej szeptami borów i zbóż,
Będę ją bronił piersiami swemi
Od złych napaści, od wrogich burz.

Stoję na straży wiekowych grodów,
Świątyń i dworów i szarych chat
Wieśniak czy dziecię prastarych rodów
Raz Polskę kocha, on mi jest brat.

Stoję na straży matczynej mowy,
Rzewnej a mocnej jak druha dłoń,
Jej wdzięk pradawny a zawsze nowy,
To skarbiec ducha, to nasza broń.

Stoję na straży przeświętej wiary
Dającej męstwo, cichość i hart.
Choćby posiadał wspaniałe dary
Wiarus bez wiary cóżby był wart?

Stoję na straży chrześcian przedmurza,
Co hen sięgało od mórz do mórz —
Fala się piętrzy, zawyła burza...
Ratuj nas Chryste, bo giniem już!

Stoję na straży przeszłości czynów
Świetnych a łzawych jak w rosie kwiat,
Uwite z bólu krwi i wawrzynów —
Naród bez wspomnień, to zgasły świat.

Stoję na straży obecnej chwili,
Jednego pragnę: aby ten lud,
Co jako głodna ptaszyna kwili,
Mądrej swobody raz ujrzał cud.

Stoję na straży przyszłości świtu,
Górą my będziem, ucichnie wróg
Gwiazda zaranna lśni nam z błękitu,
— Sprawę skrzywdzonych obroni Bóg!

1908. *Inpol.*



Ratuj przyjacielu!

(Obrazek z życia).

— Ratuj przyjacielu — błagam cię! — Więzienie mnie czeka, dodał cicho.

— Ileż wynosi suma?

— Sześćset marek.

— Nie mogę. Nie rozporządzam podobną sumą.

— Na Boga, nie daj mi ginąć, sprzeniewierzyłem cudzą własność.

— Lekkomyślność, karygodna lekkomyślność!

— Skompromituję rodzinę — niema rady — chyba kulą w łeb!

— Telegrafuj do ojca.

— Zapóźno. Zresztą kto wie czy zarazby wysłał, a dług koniecznie dziś spłacić muszę.

— Telegrafuj zatem po potrzebną ci kwotę, a ja ci dzisiaj wyłożę. Wiesz na co się narażam... Miecz Damoklesa, który wisi nad twą głową, nad moją zawiśnie.

— Wiem — i dla tego nie zawiodę cię.

Lecz inaczej się stało. Najniespodziewaniej odbyła się rewizya kasy i pana kasyera za sprzeniewierzenie w więzieniu osadzono. Nie zdradził przyjaciela i nawet odcierpiał karę sześciu miesięcy.

— Nic mnie nie uratuje, po co dwóch ma cierpieć, powiedział sobie.

Po ukończeniu kary odszukał przyjaciela, który przywitał go wzniosłem zapytaniem o życzenia.

Czyż potrzebuję prośbę wynurzać, nie poczuwasz się do obowiązku? — Mam żonę i dzieci, które głód cierpią.

— Cóż ja mam za związek z głodem pańskich dzieci? Trza było nie być tak lekkomyślnym!

— Ty to mówisz! — Ty, przyczyna mego nieszczęścia!

— Tylko ostrożnie, mój panie.

— Czy podobna?! Boże, mój Boże!

— Tylko bez scen, mój panie. Abyś przecież miał o czem opuścić tutejszą okolicę, przeznaczyłem dla pana te pieniądze.

Położył przed nim sześć niebieskich papierków.

— Nie chcę tych pieniędzy, do sądu pójdę i oskarżę cię.

— Któż panu uwierzy? Panu, który poważy się uczciwego człowieka oskarżać! A wskazując pieniądze dodał, — a zważ, żona i dzieci głód cierpią.

Drugiego dnia żona i dzieci płakały nad zwłokami zabitego męża i ojca, a biedna wdowa w swej ciężkiej niedoli błogosławiła nieznanego dawcę, który w kopercie, na zaspokojenie pierwszej nędzy, sześć niebieskich papierków nadesłał.

Stanisława K.



Sprawa honorowa.

W gabinecie wspaniałej swej wilii siedział pułkownik gwardyi, baron Ewald von der Verra, przed nim zaś hr. Eberhard, rotmistrz tegoż pułku.

— Zaprosiłem pana do siebie, kochany panie Olsen — zaczął pułkownik — żeby poradzić się w pewnej drażliwej kwestyi.

— Jestem do usług pańskich! — grzecznie odpowiedział rotmistrz, skłoniwszy się w fotelu.

— Sprawy honorowe, panie rotmistrzu... U nas, jak pan wie... sprawy takie bywają często dość hańbiące.... prawda?

— O... naturalnie!....

— Należy przynajmniej starac się wybrnąć z nich z honorem... przyzwoicie... pan rozumie

— Ależ naturalnie!...

— Hm!... Tak... Mam podobną sprawę właśnie. Naturalnie, że w grę wchodzi kobieta... wiarołomna żona i... jej uwodziciel...

— Rozumiem, panie pułkowniku!

— Hm! Tak... Naturalnie... chodzi tu o... o moją żonę...

— Panie pułkowniku?!

— Hm! Tak... No i co pan powie, panie rotmistrzu?

— Tutaj nie może być dwóch zdań. Kwestya jasna: należy się bić.

— A więc pan uważa, że bezwarunkowo musimy się bić? Co się panu stało, rotmistrzu? Niech pan siada! Dlaczego pan tak strasznie na mnie patrzy?

— Ja... nie byłem na to przygotowany, panie pułkowniku.

— Hm... Tak... Pan myślał, że ja o kimś innym.... Prawda, pańska sprawa już trochę... zestarzała się... Już minęło około dwóch lat... I gdyby nie list...

— List? Zapewne anonim. Ale któż wierzy anonimom?...

— Ma pan racyę. Tak... Ale list nie był anonimowy. Wogóle kto pisze w takich wypadkach... to zwykła wada kobiet zakochanych... Ten list pisał mężczyzna... To pański list, rotmistrzu.

— Panie pułkowniku, jestem do pańskiego rozporządzenia.

— Wiem. To bardzo proste... Będziemy się bili i przepisom honoru stanie się zadość. To bardzo wygodne... zwłaszcza dla pana.

— Więcej, niż postawić życie na kartę czy mogę co zrobić? To jedyne rozwiązanie kwestyi dla mnie i dla pana, a i dla opinii także...

— No... nie zupełnie. Widzi pan, ja dotąd, bez względu na wszystko, nie czuję, aby honor mój był splamiony. W chwili jednak, gdy przerwiemy naszą rozmowę, poślemy sobie sekundantów...

— Jako powód można będzie wynaleźć coś takiego, coby zapobiegło z góry skandalowi...

— I zaczniemy sprawę honorową od kłamstwa. Niechby wreszcie, ale kto w to uwierzy? Zaraz zaczną szukać, macać, szeptać i — w końcu dowiedzą się, a ja w rezultacie będę spacerował w rogach.

— Panie pułkowniku... rozmowa taka...

— Niech pan siada. Idzie tu o mój honor, a więc pozwól mi pan zająć się tą sprawą. Po co te gesty efektowne i spojrzenia surowe? Tem mi pan nie zaimponuje. Widzi pan, panie rotmistrzu, jestem wściekły... i wie pan, dlaczego...

— Mogę sobie wyobrazić, panie pułkowniku.

— Nic pan sobie nie może wyobrazić. Wściekły jestem, że... nie mogę być wściekły na całą tę... historyę. Bo to byłoby takie proste, gdybym zastrzelił nędznego uwodziciela i załatwił odrazu całą sprawę.

— Więc cóż zrobimy, panie pułkowniku?

— A właśnie... I tak i tak, a śmieszność i hańba pada wciąż na moją stronę. O ile pańskie położenie lepsze jest od mojego? A najwstrętniejsze jest to, że nie mogę się doprowadzić do tego stanu wściekłości, aby z przyjemnością zetrzeć pana z powierzchni ziemi.

— Najlepiej będzie pozostawić to rozprawie honorowej, panie pułkowniku.

— Tak, tak! A potem? Obrzydliwa historya. Żona moja popełniła czyn hańbiący, adjutant mój spełnił czyn hańbiący, a shańbiony jestem ja.

— Pułkowniku, powiedziałem już jestem do pańskiego rozporządzenia. Po co dalsze zniewagi?

— Kochany panie rotmistrzu. Pozwól , teraz ja chcę mówić. Wreszcie... słowa „czyn hańbiący“ w stosunku do pana cofam. Przecież i ja gdybym był adjutantem i gdyby żona pułkownika... nie ręczę za siebie.

— Panie pułkowniku, nie przeciągajmy tej rozmowy. Tysiąc razy proszę pana o przebaczenie, tysiąc razy dziękuję za dobroć i pobłażliwość... Ale przecież nic innego nam nie pozostaje...

— Jak strzelać się? Wiem... A jednak, jeżeli mam być szczery, chętnie chciałbym tego uniknąć.

— Panie pułkowniku!

— Mam nadzieję, że nie posądzisz mnie pan o tchórzostwo.

— Pułkowniku!

— Nastrój mój, jak pan widzi, nie należy do najlepszych. Są chwile, gdy życie naprawdę staje się bez wartości i niech mi pan wierzy, rotmistrzu, wielką usługę oddałaby mi pańska kula... Ale, gdy pan tego nie dokonasz... Widzi pan, pojedynek, to znakomite wyjście z różnych spraw. Ale mnie nic pomódz nie może. Słyszał pan pewnie, jak wszyscy źle patrzeli, gdym się żenił z aktorką. Odwrócili się nawet odemnie. I teraz te wszystkie mądrale na całej linii zatryumfują, będą żarciki stroić. Czy nie przepowiedzieli? Sam to wkrótce zrozumiałem, ale przynajmniej miałem nadzieję, że ukryję to przed ludźmi.

— Panie pułkowniku, zrobię wszystko, co pan każe... przecież o tem wiemy tylko pan i ja... Sądzę, że słowo oficera...

— No, no, panie rotmistrzu. Żebyś mi pan potem miał prawo w twarz plunąć. Nie mogę. Ach, gdybym mógł poczuć w sobie gniew. Pan mnie nie rozumie. Widzi pan, na żonę dziś patrzę nie inaczej, niż patrzyłem dawniej już w głębi duszy. Szał namiętności rozwiał się... Nie zdarzyło się dziś nic, coby mi przyczyniło jakiś ból. Wiem, że straciłem ją już dawno i wiem to dawno. Taki już charakter... ona niewinna...

— A jednak panie pułkowniku, gotów jestem włożyć rękę w ogień, że szanowna pańska małżonka tylko ten jeden raz w szale zapomnienia....

— Obawiam się, rotmistrzu, że strasznie popalisz sobie rękę...

— ?!

Więc widzi pan... zazdrościć może tylko ten, kto kocha. Tak, a ja nie rozumieem, jak można kochać, gdy raz już zjawiło się uczucie zazdrości. Nie mogę zabijać pana bez... bez żadnego... zapału... z zimną krwią.

!

— Całkiem głupia historya. Gdybym przynajmniej coś miał przeciwko

panu w duszy? Jaki osieł nie zgodzi się gdy oślica przystanie. Sambym pewno na pańskiem miejscu... Wie pan co, panie Olsen: czy nie znajdziemy innego wyjścia. Tak dawno, tak szczerze szanuję pańską matkę... i teraz mam strzelać do jej syna... Wie pan, co panu zaproponuję: żeń się pan z tą kobietą! Wezmę rozwód po cichu i pan się ożeni. Milczeć umie. Cóż?

— Przepraszam pana, panie pułkowniku... ja sądzę... to jest chciałbym... nie wiem...

— Nie chcę naglić. Niech się pan zastanowi.

— Już się zastanowiłem, pułkowniku.

— Więc co? Jak? Niech pan mówi!

Jeżeli mogę prosić pana, panie pułkowniku... lepiej strzelać się.

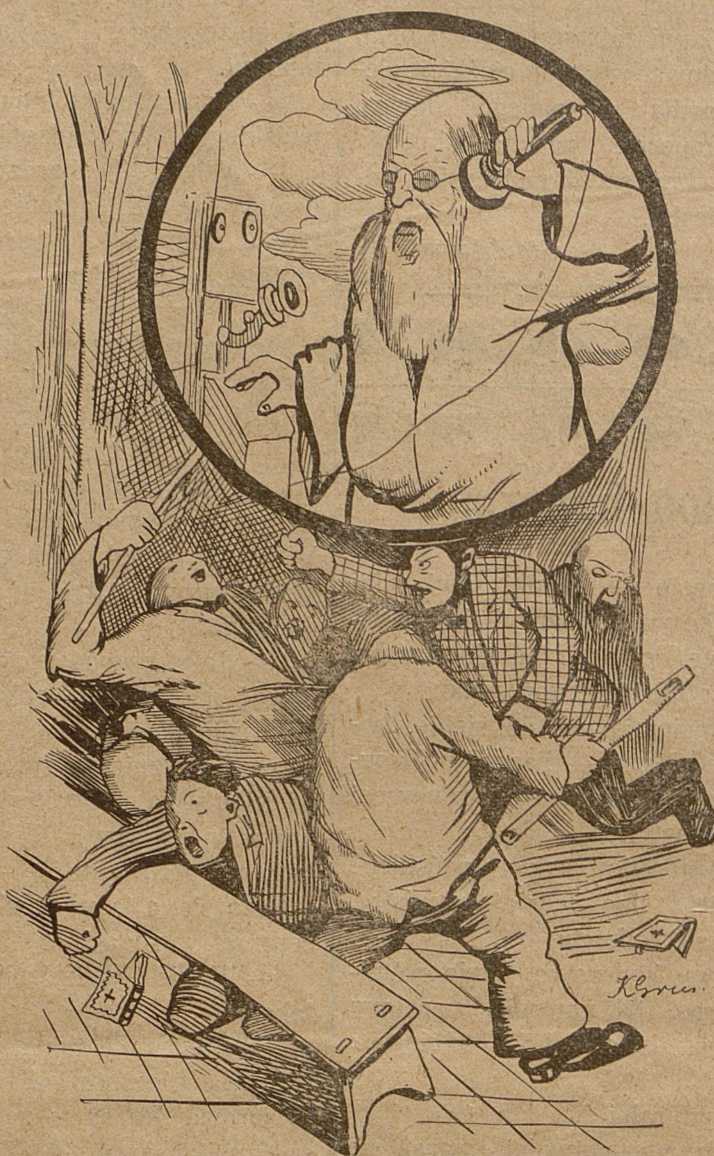
— Szkoda... Ha! W takim razie raczy pan, panie rotmistrzu, wybrać sobie sekundantów.

— Będę miał honor, panie pułkowniku.

— A więc, do jutra!

Przeciwnicy skłonili się sobie ceremonialnie. Porozumienie było skończone.

Z Małego Krzycka.



Św. Piotr: A cóż to znowu? Z pewnością połączyli mię z karczmą zamiast z kościołem w Małym Krzycku!

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 30-go kwietnia 1310 urodzenie Kazimierza W. — 1632 śmierć Zygmunta III. — 1697 koniec konfederacyi wojskowej. — 1794 bitwa z Moskalami pod Niemczynem. — 1831 poruszenie cząstkowe na Podolu. — 1848 bitwa pod Miłosławiem.

Dnia 1-go maja 1576 koronacya Stefana Batorego i Anny Jagiellonki. — 1711 śmierć Andrzeja Załuskiego, biskupa warmińskiego. — 1831 odezwa naczelnego wodza do krajów zabranych.

Dnia 2-go maja 1063 Bolesław Śmiały zdobywa Kijów. — 1417 małżeństwo Władysława Jagiełły z Elżbietą Pilecką. — 1576 ślub Stefana Batorego z Anną. — 1648 koniec bitwy i klęska pod Żółtemi wodami. — 1705 prymas Radziejowski ogłasza bezkrólewie. — 1813 wojsko polskie opuszcza Kraków. — 1848 bitwa pod Wrześnią.

Dnia 3 maja 1454 Prusacy wykonywają przysięgę wierności. — 1660 traktat oliwski. — 1791 ogłoszenie konstytucyi. — 1809 pobicie Austryaków pod Górą. — 1875 utworzenie Królestwa Polskiego.

Dnia 4 maja 1439 śmierć Spytka z Mielsztyna. — 1472 Czesi wzywają na tron Kazimierza Jagiellończyka. — 1505 sejm w Radomiu zatwierdza statut Aleksandra. — 1666 zerwanie sejmu przez Miaskowskiego. — 1726 śmierć Ferdynanda Ketlera, ostatniego księcia kurlandzkiego. — 1768 nota posłów moskiewskiego i pruskiego. — 1831 bitwa pod Prystowianami.

Dnia 5 maja 1260 trzęsienie ziemi w Polsce. — 1399 Bonifacy IX papież przyrzeka być chrzestnym potomka Jagiełły. — 1629 śmierć poety Szymona Szymonowicza. — 1791 zaprzysiężenie konstytucyi przez sejm i króla. — 1829 otwarcie biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. — 1831 powstanie w powiecie hajsyńskim. — 1831 uchwała sejmu co do Ziem zabranych.

Dnia 6 maja 1686 traktat Grzymułtowskiego z Moskwą. — 1763 urodzenie Józefa Poniatowskiego. — 1848 utarczka pod Śremem.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica,
Wszystko piękne, tkliwe, wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.
Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niem rozkosze,
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Bohdan Zaleski.

Humor i satyra.

Słoń i żółw.

Bajka ofiarowana wszelkiego rodzaju hakatystom.

Czując pragnienie w dobie wielkiej spieki,
Słoń nad brzegiem stanął rzeki
I nim trąbę w niej umoczył
Żółwia zoczył.
— Czego mącisz mi wodę, poczwaro! zawoła;
Żółw podniósł czoła:
— Czyż mącę?... zresztą moją siedzibą zdrój rzeczny,
Mógłbyś o ile wielki — o tyle być grzeczny!
Że jestem mniejszy, słabszy niźli słonie
Przeto pić z rzeki ci nie bronię!...
Słonia to oburzyło, iż żółw gada wrogo,
Fuknął trąbą i karła zaczął deptać nogą
Przycisnął mocno olbrzym z całej siły ducha,
I czy żółw żyje? — słucha —
Wreszcie przestał, żółw żyje, depce po raz wtóry,
Nogę podnosi do góry

Bije jak młotem,
Aż się cały oblał potem;
Poczem zmęczony, pełną trąbą wodę pije,
Spojrzał, żółw się porusza, idzie, a więc żyje
I choć go wściekłość przez to zaraz większa bodzie,
Żółw, drwiąc z słonia, spokojnie zanurzył się w wodzie.

* * *

Taka choroba.

Lekarz do pacyenta:

— No, jakże tam z pańskiemi oczami? Przykładałeś pan spirytus do oczu?

Pacyent (nałogowy pijak):

— Panie konsyliarzu, przepisz mi pan inne lekarstwo... Dalibóg, ja wódki wyżej — niż do ust — nie zdołam podnieść.

* * *

Na ulicy.

— Stój, łotrze! Przecie to ciebie wczoraj w nocy spłoszyłem, gdy dobierałeś się do mej ogniotrwałej kasy?

— Tak, to ja jestem... Chciałem prosić łaski pana, możeby wielmożny pan oddał mi dłuto i pilnik, które w pośpiechu zapomniałem!

* * *

Ze Syjonu galicyjskiego.

Kohn: Czego pan taki zły, panie Goldgrub!

Goldgrub (milioner): Jak ja nie mam być zły? Właśnie w kawiarni ukradł jakiś rzezimieszek parasol Silbersteina, a nie mój, który stał tuż obok.

Kohn: Nu — to lepiej!

Goldgrub: A naturalnie, lepiej! Teraz Silberstein będzie się po całem mieście chwalił, że jego parasol był lepszy od mojego!

*

Pan bankier: Co ten obraz potrzebuje przedstawiać?

Malarz. „Siedem grzechów głównych“. Ale nabył go już pan Feinstock za 2.000 koron.

Pan bankier: Co? ten Feinstock... za 2.000 koron siedem grzechów głównych? Proszę... niech pan dla mnie wymaluje dziesięć grzechów głównych za 4.000 koron!

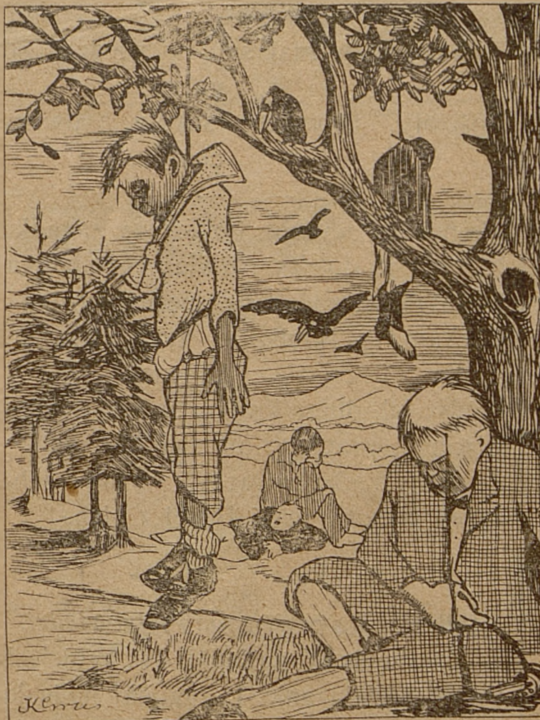
*

Panna Lilienblum (której wszystkie starsze siostry wyszły za szlachciców i baronów): Papciu! ja kocham pana Skibę i chcę być jego żoną!...

Pan Lilienblum: Co?... syna stolarza?... Bój się Boga, Róziu... to mieszczanin, a ty przecie nie chcesz popełniać mezaliansu!

* * *

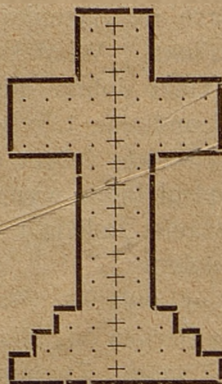
Błogosławiony owoc dzisiejszego szkolnictwa.



Żaki się wieszają,
W łeb sobie strzelają;
Hakatystów żniwo
Zbyt wstrętne to dziwo!

Zagadka krzyżykowa.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. W. Polak z Bobrku na Górnym Śląsku.



Utworzyć w miejsce kropek i krzyżyków 16 wyrazów tak, iżby litery w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko śląskiego poety ludowego.

Znaczenie wyrazów:

1. Organ wzroku, 2) Poeta polski, 3) Spodek 4) To samo co wysyłka, 5) Imię męskie, 6) Kraj nadbałtycki, obecnie prowincya rosyjska, 7) Trapią nas w nocy, 8) Liczba, 9) Wada wzroku, 10) Część ciała, 11) Tyle co wądół, przepaść, 12) Miasto kąpielowe w Niemczech, 13) Pasmo gór w Saksonii, 14) Nie poezya, 15) Imię męskie, 16) Wódz Anglików w wojnie z Burami.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 4 go maja włącznie

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak zagadki jak też znaczenia wyrazów.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w numerze 16-ym:

P o w ó j
K r e t a
H a s ł o
P r o c h
A l l a h
M i e c z
P i g w a
B r o n a
I z a a k
G a l b a
L i l j a
O n e g a
Z u l u s
K r u k i
K i j ó w
S t a r t

Wesołego Alleluja!

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 20-go b. m. włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA. pp. Wanda Malinowska J. Waligórski.

Z PROWINCYI: pp. Dr. Żmid iński ze Skalmierzyc, Stanisław Konieczny z Żelic (pow. wągrowiecki).

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: pp. Wiktor Polak z Bobrku, Berta Badura z Roździenia.

Z GALICYI: p. H. Wodecki z Ropczyc.

Z OBCZYZNY: p. H. Modrzyński z Berlina

Nagrodę otrzymali: pp. Stanisław Konieczny z Żelic, Wiktor Polak z Bobrku, i Hieronim Modrzyński z Berlina.

NASZ KĄCIK.

Konstytucya 3 maja 1791 r.

Dziś maj trzeci, dziś maj trzeci
Szczytnych wspomnień lśni potęga,
Niech się w piersiach zapał wznieci
I czy serce pod siermięgą,
Czy pod stroiną bije szatką,
Wzajem kochajcie się dzieci,
Bo Polska wszystkim wam Matką,
A dzisiaj wstał znów maj trzeci.

— — — — — — — — —

„Tak dla mieszczan, jak dla kmieci“,
Król, posłowie, senatorzy
Głosili: „Równość się kwieci,
Równi szlachcie z łaski Bożej,
Każdy w każdym ma mieć brata,
Miłość w łonach niech się wznieci,
Niechaj w uścisk serca splata!“
Tą uchwałą grzmiał maj trzeci.

— — — — — — — — —

Jak na skrzydłach tak czas leci...
Kwitnąż dziś miłości pączki?
Dzieci! Kochajcie się dzieci,
W bratni uścisk splećcie rączki!
Chociaż którą trud opali,
Chociaż w sukni dziura świeci,
Kochajcie się wzajem mali,
Bo tak kazał nam maj trzeci!

P. W.

* * *

VI Zagadka historyczna do nagrody.

Król słaby duchem siadł na polskim tronie,
Ni żądzą sławy nie płoną mu skronie,
Ani rozszerza granice swej ziemi,
Z Niemką się złączył węzły dozgonnemi.
Umarł, — a ona okrutna i sroga
Rządzi jakby się nie lękała Boga,
Dla ludu Polski pełna wzgardy, dumy,
Aż gniewem pomsty zaszemrały tłumy.
Czując, że nazbyt ciężką jest jej wina,
Zabrawszy skarby i uwożąc syna,
W dalekie strony uciekła Niemkini.
A w Polsce przewrót i zamęt się czyni:
Zeszedłszy z prawej chrześcianina drogi,
Znów dawnym bożkom kłania się lud mnogi,
Biją się bracia i burzą kościoły...
Oj, czas był w Polsce wcale nie wesoły. —
Lecz z za chmur ciężkich rozbłysły znów zorze,
Wspomniał lud władcę młodego w klasztorze,
Co się tam uczył od kraju w oddali;
Wspomniawszy zaraz z prośbą pojechali.
Przybył królewski syn do swego ludu;
O, miał nie mało roboty i trudu,
Zanim podźwignął sam w wiedzę bogaty
Kościoły, twierdze, szkoły, dwory, chaty.

— — — — — — — —

Skończony wyścig, już szósta zagadka,
Niechże ją dobrze rozwiąże gromadka!
Dużo rozwiązań z dziecięcego grona
Czekam. — Napiszcie tych władców imiona,
Kiedy, jak długo krajem swym rządzili,
A weźcie przykład dla siebie, o mili,
Że nigdy z obcym łączyć się nie trzeba,
Jeżeli chcemy łaski Bożej z nieba!

P. W.

* * *

Dalszy ciąg rozwiązań i odpowiedzi.

Znaczenie IV. zagadki: św. Wojciech. Dobre rozwiązanie 4. zagadki nadesłała Mania Jasiczak z Witten. Hanka Preibiszówna z Mokronosa bardzo ładnie odpowiedziała na 3 pierwsze zagadki i nie tylko nie wpadła w zastawione w II. zagadce sidełka, lecz nawet sprostowała umyślną nieścisłość tak, jak pragnęłam, by to zrobiły wszystkie dzieci. Jadzia i Albinka Badurówny z Roździenia także omijając przeszkodę, nadesłały na zastosowanych pocztówkach rozwiązanie 2. 3. i 4. zagadki. Halinka i Władzio Jasińscy z Poznania także dobrze odgadli i opisali 3 zagadki omijając 1. o Wandzie, dla czego? Tylko kto dobrze odgadł wszystkie i napisał ładne wypracowania nagrodę dostanie. Jadwinia A. z Krakowa odgadła dobrze 2. i 3. zagadkę nie wpadłszy w pułapkę. Marynia Tomaszewska z Berlina odgadła 2., 3. i 4. zagadkę, toż samo Zygmuś czyli *Zygmunt* a nie Zygmund Królikiewicz z Oberschoeneweide, ale ten mylnie, bo Jadwiga i Jagiełło znacznie później zaprowadzili chrześcijaństwo na Litwie, a w r. 965 Mieczysław i Dąbrówka wnieśli światło wiary Chrystusowej do Polski. 4. zagadkę rozwiązali jeszcze: Gabrysia Bytyńska z Kórnika, Józio Bortkiewicz z Nowegomiasta i Kazia Woźna z Kostrzyna króciutko, a bardzo szczegółowo i ładnie. Zosia Wachowska z Witkowa, Maryś i Kazio Ochenduszkowie z Liska w Galicyi, Zbyszek Nowacki z Osia i Marynia Kruk z Gablina. — A czemu to moje poznańskie dzieci tak zamilkły? Irenka Mrówczyńska, Pelasia Drożdżyńska, Felcia Malinowska, Antoś Jesionowski i tyle innych, czemu? Dalej, śmiało, stańcie w szeregu do gonitwy, nagród wprawdzie mało i nie każdemu w udziale przypadnie książeczka, lecz i dla wymiany liściku z dobrą przyjaciółką potrudzić się warto! Wszystkim drogim dzieciom, które mi przysłały życzenia świąteczne serdecznie za pamięć dziękuję. Ja także w modlitwie i dzieląc się jajkiem o was wszystkich myślałam. — **I znów rozpoczął się nowy rok szkólny.** Niejednemu z was ciężko będzie pokonać trudności nauki w wyższej klasie. Pamiętajcie dzieci, kiedy was opadnie czasem znużenie, lub umysł przyćmiony, nie zdolny będzie pojąć wykładanego wam przedmiotu, króciutko, lecz szczerze wezwijcie na pomoc Ducha św., a On was oświeci i dopomoże! Pamiętajcie w tym miesiącu poświęconym czci Najświętszej Panny, by idąc do szkoły wstąpić choć na jedno: Zdrowaś Marya do kościoła! — Mania Jasiczak. Witten. Cieszę się, że znów się odezwałaś Maniu. Kto zrobił taki ładny rysunek na papierze? Zbyszek Nowacki. Osie. Jakże mi cię żal chłopczyku kochany, że taki smutek Bozia ci zesłał, ale pewnie ta dobra babcia będzie Go prosić, by ci tu błogosławił. Maryś i Kazio Ochenduszkowie. Lisko. Myślałam, że drogie chłopczyki zapomniały o mnie, a tu znów taki śliczny list, dziękuję serdecznie i na rozwiązanie zaległych zagadek czekam! Hanka Preibiszówna. Mokronos. Haneczko, ślicznie wywiązałaś się z zadania! Szczęśliwe dzieci, które tyle mają przestrzeni i własny zagonek. Dziękuję za fiołeczki i liścik niemi pachnący. Michna Rosińska. Wronki. Przysłane pieniążki: jedną markę, dałam na „Czytelnie ludowe“, (Fundusz „Pracy“), czy dobrze? A czemu to Michno nie przysłałaś więcej rozwiązań? Zosia Wachowska. Witkowo. Jak to ładnie i dobrze, że twoi kochani rodzice Zosiu udzielają „Pracę“ do czytania tym, którzy nie mogą jej sami abonować. Ucz się tego i w przyszłości naśladuj bo wszakże nie tylko chleba ciałom, ale i duszom potrzeba dobrej strawy. Irenka Koperska. Kostrzyn. Dziękuję ci i wdzięczną jestem, Irenko droga, za pamięć i życzenia świąteczne, lecz wolę być po polsku nazwana — pani, niż madame, więc na drugi raz tak nie adresuj. Marynia Tomaszewska. Berlin. Dobrze Maryniu, że mi o swej rodzinie napisałaś.

Całuję was drogie moje dzieci w jasne i ciemne główki wasze, kochająca przyjaciółka *Paula Wężyk.*

(Dalszy ciąg rozwiązań i odpowiedzi nastąpi.)



Tajemnica morza.

7)

(Ciąg dalszy).

Podziwiałem rozkoszny wschód słońca, tak wesoły i ożywczy — gdy naraz usłyszałem, że ktoś wchodzi na platformę. Zamierzałem powitać kapitana, ale to był jego porucznik podobny do niego z wyglądu. Zdawał się nie spostrzegać mej obecności. Przyłożywszy potężną lunetę do oczu, zbadał z niezmierną uwagą wszystkie punkta horyzontu. Potem zbliżył się do klapy i wymówił zdanie, którego brzmienie dokładnie tu powtarzam. Zachowałem je dobrze w pamięci, bo każdego rana powtarzało się w jednakich okolicznościach. Oto są te wyrazy:

Nauiron respoc lerni virch.



...Zbadał z niezmierną uwagą wszystkie punkta horyzontu...

Co one znaczyły — tego nigdy nie będę wiedział.

Po wymówieniu tych słów, porucznik zeszedł na dół. Myślałem, że „Nautilus“ wraca do swej podmorskiej żeglugi, pospieszyłem więc do klapy i przez podłużny korytarz dostałem się do mego pokoju.

Upłynęło tak pięć dni, bez żadnej zmiany w naszem położeniu. Co rano wychodziłem na platformę. Codzień to samo zdanie wychodziło z ust tej samej osoby. Kapitan Nemo nie zjawiał się. Sądziłem już, że go nigdy nie zobaczę, kiedy tymczasem 16 listopada, wróciwszy do swego pokoju z Nedem i Konselem, zastałem na stole list pod mym adresem. Zerwałem niecierpliwą ręką kopertę. Pismo było bujne, czyste — lecz zakrawało nieco na gotyckie, przypominając kształt liter niemieckich. List ten zawierał następujące wyrazy:

Do pana profesora Aronnax, na pokładzie „Nautilusa.“

17-go listopada 1867 r.

Kapitan Nemo zaprasza profesora Aronnax na polowanie, które odbędzie się jutrzejszego rana, w jego lasach na wyspie Krespo. Spodziewa się, że profesorowi nic nie przeszkodzi w niem uczestniczyć i z przyjemnością będzie widział z nim razem jego towarzyszy.

Dowódca „Nautilusa“ kapitan Nemo.

— Polowanie! — zawołał Ned.

— I to w lasach na wyspie Krespo — dodał Konsel.

— Zatem wysiądzie na ląd ten dziwak — zauważył Ned-Land.

— Zdaje mi się, że to dość jasno wyrażone — odpowiedziałem, powtórnie odczytując list.

— A więc należy przyjąć — rzekł Kanadyjczyk. Raz stanąwszy na ziemi, zobaczymy, co począć dalej. Zresztą nie gniewa mię to wcale, że sobie zjem parę kawałków świeżego mięsa.

Nie starając się pogodzić sprzeczności, zachodzącej pomiędzy objawionym przez kapitana Nemo wstrętem do wysp i lądów, a jego zaproszeniem na polowanie w lasach, poprzestałem na odpowiedzi:

— Zobaczymy przedewszystkiem, co to jest ta wyspa Krespo.

Wziąłem mapę obu półkul i znalazłem wysepkę rozpoznaną w r. 1801 przez kapitana Krespo, która na dawnych mapach hiszpańskich zwaną była „Srebrną Skałą“. Znajdowaliśmy się zatem blizko o tysiąc ośmset mil od miejsca naszego wyjazdu.

Po kolacyi podanej mi przez milczącego i niewzruszonego służącego, zasnąłem nie bez pewnego zajęcia się myślą o jutrze.

Nazajutrz, 17 listopada, zbudziwszy się, poczułem, że „Nautilus“ stoi całkiem nieruchomy. Ubrałem się żywo i poszedłem do dużego salonu.

Zastałem kapitana Nemo, który tu na mnie czekał: powstał i zapytał się, czy zechcę mu towarzyszyć.

Ponieważ nie napomknął ani słówka o naszem ośmiodniowem niewidzeniu się, więc i ja też nie wspominając nic o tem, odpowiedziałem poprostu, żem gotów z towarzyszami na jego usługi.

— Ośmielę się tylko — dodałem — zadać panu jedno pytanie.

— Pytaj, panie Aronnax, a jeżeli będę mógł, to ci odpowiem.

— A więc, kapitanie, jakim sposobem, zerwawszy wszelkie stosunki z ziemią, posiadasz pan lasy na wyspie Krespo?

— Panie profesorze — odrzekł kapitan — lasy, które posiadam, nie potrzebują od słońca ani światła, ani ciepła. Nie mieszkają w nich ani lwy, ani rysie, ani tygrysy, ani jakiekolwiek zwierzęta czworonożne. Ja sam tylko je znam; dla mnie tylko jednego one rosną. Są to lasy podmorskie.

— Lasy podmorskie! — zawołałem.

Spojrzałem na dowódcę „Nautilusa“ wzrokiem, który nie wyrażał dlań nic pochlebnego.

— Widocznie cierpi na mózg — pomyślałem, miał napad, który trwał ośm dni i dotąd jeszcze nie ustał. Szkoda, wolałbym w nim widzieć dziwaka, niż waryata.

Weszliśmy do sali jadalnej, gdzie zastawione było śniadanie.

— Panie Aronnax — rzekł kapitan — proszę podzielić ze mną bez ceremonii śniadanie. Porozmawiamy jedząc. Przyrzekłem panu przechadzkę po lesie, lecz nie obiecywałem, że znajdziesz tam restauracyę. Posilaj się pan jak człowiek, który prawdopodobnie będzie musiał długo czekać na obiad.

Kapitan Nemo jadł z początku nie mówiąc ani słowa; potem odezwał się do mnie:

— Panie profesorze, kiedym zaproponował ci polowanie w mych lasach na wyspie Krespo, sądziłeś, że jestem sam z sobą w sprzeczności. Gdym cię objaśnił, że tu idzie o lasy podmorskie, myślałeś, żem waryat. Panie profesorze, nie trzeba nigdy sądzić o ludziach lekkomyślnie. Chciej pan posłuchać, a zobaczysz, czy wypada zarzucać mi sprzeczność lub obłąkanie. Wiesz pan tak dobrze jak ja, że człowiek może żyć pod wodą, byle tylko miał z sobą zapas powietrza do oddychania. W pracach podmorskich robotnik w nieprzemakającem odzieniu, z głową zamkniętą w metalowem pudle, otrzymuje powietrze za pomocą pomp. Jest to przyrząd nurków, ale człowiek w takich warunkach nie ma dosyć swobody. Związany on jest z pompą, dosyłającą mu powietrze, kauczukową rurą, łańcuchem przykuwającym go do ziemi; będąc tak przyczepieni do „Nautilusa,“ nie moglibyśmy daleko odejść.

— Lecz jakim sposobem możemy być wolni? — zapytałem.

— Za pomocą mego przyrządu, który posiada małą banię ze ścieśnionem powietrzem, jak tornister żołnierza noszoną na plecach; oprócz tego znajduje się tam także baterya elektryczna, którą oświetlam sobie drogę, bo pod wodą jest czasem ciemno.

— Niech mi wolno będzie jeszcze zapytać o strzelbę, w którą mnie masz uzbroić — rzekłem.

— Ależ to nie jest broń palna — odpowiedział.

— A więc wiatrówka?

— Naturalnie. Jakże pan chcesz, bym robił proch na mym pokładzie, nie mając ani saletry, ani siarki, ani węgla. Zresztą, panie Aronnax, sam się przekonasz, że na podmorskich łowach niewiele wychodzi kul i powietrza.

— Zdaje mi się jednak, że w tem półświetle i wśród płynu tak gęstego, strzały nie mogą nieść daleko i rzadko bywają śmiertelne.

— Owszem panie, każdy strzał z tej broni jest śmiertelny, i byle zwierzę zostało jak najlżej dotknięte pociskiem, pada nieżywe.

— Dlaczego?

— Bo mojej broni nie nabija się zwykłemi kulami, ale drobnemi szklanemi kapsułkami, naładowanemi elektrycznością pod bardzo wysokiem ciśnieniem. Za najmniejszem uderzeniem pękają, a najsilniejsze zwierzę pada martwe. Dodam jeszcze, że nie są większe, jak czwarty numer śrutu, i że nabój zwykłej fuzyi mógłby zawierać ich dziesięć.

— Nie sprzeczam się — rzekłem, wstając od stołu. — Pozostaje mi tylko wziąć strzelbę. Zresztą gdziebądź pan pójdziesz, i ja z tobą pójdę.

Kapitan poprowadził mię na tył „Nautilusa.“ Przechodząc koło kajuty Neda i Konsela, zawołałem mych towarzyszy, którzy się zaraz za nami udali. Weszliśmy do celki leżącej na samym skraju statku obok izby machin, żeby się ubrać w spacerowe suknie.

Przechadzka po równinie.

Celka ta, właściwie mówiąc, była arsenałem i szatnią „Nautilusa“. Tuzin przyrządów nurkowych, rozwieszonych na przepierzeniu, oczekiwał wybierających się na przechadzkę. Ujrzawszy je Ned-Land, okazał widoczny wstręt do przywdziania tego ubioru.

— Ależ, mój dzielny Nedzie — rzekłem — lasy wyspy Krespo, są to lasy podmorskie.

— Tak — mruknął oszczepnik, widząc rozwiane swoje nadzieje o świeżem mięsie. — I pan się w to, panie Aronnax, ubierzesz?

— Trzeba, mości Nedzie.

— Wolno panu — odrzekł, wzruszając ramionami; — ja zaś, jeżeli mnie gwałtem nie zmuszą, nie włożę tego za nic w świecie.

— Nie będą cię zmuszać, mości Nedzie — odezwał się kapitan Nemo.

— A Konsel czy się odważy? — zapytał Ned.

— Ja wszędzie pójdę za panem — odparł Konsel.

Na zawołanie kapitana, przybyło dwóch ludzi z załogi, żeby nam pomódz do przywdziania tych ciężkich, nieprzemakających sukien, zrobionych bez szwu z kauczuku i przyrządzonych w ten sposób, żeby zdołały wytrzymać wysokie ciśnienie. Rzekłbyś, że to zbroja zarazem giętka i mocna. Składała się z kaftana i spodni, zakończonych grubem obuwiem z ołowianemi podeszwami. Tkanina kaftana nasadzoną była miedzianemi blaszkami, które opancerzały pierś, chroniły ją od parcia wód, i dozwalały płucom swobodnego działania; rękawy kończyły się w kształcie giętkich rękawiczek.

Kapitan Nemo, jeden z jego towarzyszy, rodzaj olbrzyma, posiadającego zapewne ogromną siłę, Konsel i ja oblekliśmy się wkrótce w owe nurkowe suknie. Pozostawało już tylko wsunąć głowę w metalową banię. Poprosiłem jednak przedtem kapitana, by mi pozwolił obejrzeć nasze strzelby.

Jeden z załogi „Nautilusa“ podał mi pojedynkę z dużą a wewnątrz pustą kolbą ze stalowej blachy. Kolba ta służyła za rezerwoar zgęszczonego powietrza, które klapka otwierająca się za pociągnięciem kurka wpuszczała do metalowej lufy. Pudełko na kule wyżłobione w grubości kolby, zawierało dwadzieścia pocisków elektrycznych, które za pomocą sprężyny same wsuwały się w lufę. Po każdym wystrzale broń bywa zaraz nabita.

— Kapitanie Nemo — rzekłem — jestto broń doskonała i łatwa w użyciu. Radbym co żywo ją wypróbować.

Kapitan Nemo włożył głowę w metalową banię. Konsel i ja zrobiliśmy to samo, słysząc jak Kanadyjczyk życzył nam szyderczo „szczęśliwych łowów.“ Górna część naszej odzieży zakończona była podziurkowanym miedzianym kołnierzem, do którego przyśrubowywano metalowy szyszak. Trzy wycięte w nim otwory, opatrzone grubemi szkłami, dozwalały widzieć w każdym kierunku, obracając tylko głowę wewnątrz bani. Po przymocowaniu takowej

przyrządy zaczęły natychmiast działać i oddychałem zupełnie dobrze. Z lampą zawieszoną u pasa i fuzyą w ręku, gotów byłem do drogi. Wyznam jednak otwarcie, że w tem ciężkiem odzieniu i przykuty do pomostu ołowianemi podeszwami, nie zdołałbym postąpić kroku.

Ale wypadek ten był przewidziany, poczułem, że mnie popchnięto do małego, przyległego do szatni pokoiku. Towarzysze moi również popychani postępowali za mną. Usłyszałem jak się zamknęły za nami drzwi opatrzone w szczelne zasuwy i ogarnęła nas głęboka ciemność.

Po kilku minutach obiło mi się o uszy przeraźliwe świśnięcie. Oczywiście wpuszczono za pomocą rury z zewnątrz statku wodę, która zalewając nas, napełniła wkrótce cały pokój. Wówczas otworzyły się drugie drzwi w boku „Nautilusa" i ujrzeliśmy blade półświatło. Za chwilę potem stąpałem po dnie morskiem.

A teraz, jakże mam skreślić wrażenia pozostałe mi z tej podwodnej przechadzki! Wyrazy są bezsilne na opowiedzenie tylu cudownych zjawisk.



...Włożył metalową banię na głowę...

Kapitan Nemo szedł naprzód, a towarzysz jego postępował o kilka kroków za nami. Konsel i ja trzymaliśmy się obok siebie, jak gdyby wymiana słów przez nasze metalowe skorupy była możliwą. Nie czułem już ciężaru mej odzieży, obuwia, rezerwoaru z powietrzem, ani nawet tej grubej bani, w której głowa moja kołatała się, jak migdał w łupinie. Wszystkie te przedmioty zanurzone w wodzie, traciły część swej wagi i było mi bardzo wygodnie. Przestałem być ociężałą masą i posiadałem swobodę ruchów, względnie nawet dość znaczną.

Jasność oświetlająca grunt na trzydzieści stóp pod powierzchnią oceanu, zadziwiła mię swoją mocą. Promienie słoneczne z łatwością przenikały wskroś wodną masę, rozpraszając jej zabarwienie. Nad sobą widziałem spokojną powierzchnię morza.

Szliśmy po drobniutkim, gładkim piasku, nie pomarszczonym jak piasek wybrzeży, noszący ślady kołysania się fali. Lśniący ten kobierzec z zadziwiającą siłą odbijał promienie słońca, — i stąd to pochodził ów niezmierny blask, przenikający cały płyn. Czy uwierzycie mi, gdy powiem, że w tej trzydziestostopowej głębinie widziałem tak wyraźnie, jak wśród jasnego dnia na ziemi?

Przez kwadrans stąpałem po tym iskrzącym się piasku, posianym nieujętym pyłkiem muszel. Pudło „Nautilusa" zarysowane w kształcie długiej skały, powoli znikało nam z oczu, ale latarnia jego w razie gdyby ciemność nastała w wodzie, miała ułatwić nam powrót, roztaczając z niezmierną wyrazistością swoje promienie. Szliśmy wciąż dalej, a rozległa piaszczysta równina zdawała się nie mieć granic.

Wkrótce niektóre kształty przedmiotów, majaczących ledwie w oddali, zarysowały się przed memi oczyma. Ujrzałem na pierwszym planie skały, zasłane najpiękniejszemi okazami zwierzokrzewów, i stanąłem zdumiony zjawiskiem, właściwem tylko podmorskiej otchłani.

Była wówczas godzina dziesiąta rano. Promienie słońca padały na powierzchnię fal pod kątem dosyć ukośnym — i za dotknięciem ich światła, rozłożonego przez złamanie się jakby w pryzmacie, kwiaty, skały, odziomki, muszle mieniły się po brzegach siedmiu kolorami słonecznego widma. Był to cud, gra barwistych odcieni, zielonego, żółtego, pomarańczowego, fioletowego, niebieskiego, błękitnego.

Na ten wspaniały widok, Konsel, również jak ja, przystanął. Przejrzałem wszystkie te dziwy na ćwierćmilowej przestrzeni, zatrzymując się ledwie na chwilę, i zdążając za kapitanem Nemo, który mię przyzywał skinieniem. Następnie przebiegliśmy łąkę wodorostów, podmorskich roślin nie wyrwanych jeszcze przez wodę, i rozradzających się z niezmierną bujnością. Te gęsto splecione trawniki, miękkie w dotknięciu stopą, mogłyby iść o lepsze z najdelikatniejszemi dywanami, utkanemi ręką człowieka.

Upłynęło półtorej godziny od chwili opuszczenia „Nautilusa". Było blizko południa. Poznałem to po pionowem padaniu promieni słonecznych, które przestały już łamać się. Szliśmy miarowym krokiem, rozlegającym się dziwnym rozgłosem po gruncie. W tem miejscu grunt zniżył się znaczną pochyłością. Światło przybrało ton jednostajny. Doszliśmy głębokości stu metrów, znosząc wtedy ciśnienie dziesięciu atmosfer. Ale mój przybór nurkowy był tak wybornie urządzony, że nie doznałem stąd żadnej dolegliwości. Znużenie po dwugodzinnej przechadzce, w chomoncie, do którego tak mało byłem przyzwyczajony, nie dokuczało. Ruchy me, z pomocą wody, odbywały się z zadziwiającą łatwością. Naraz kapitan Nemo przystanął, czekając aż się doń zbliżę i wskazał mi kilka brył czarnych, wystających w cieniu niewielkiej odległości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Piękne jest życie, gdy je owionie
Zapał, co płynie z Boskiego tchnienia,
Gdy w sercu uczuć pogoda płonie,
Cierń cierpień w kwiecie wiosny się zmienia,
Gdy duch w słoneczne wpatrzony kraje
Ku szczytnym celom mknąć nie przestaje.
Choć noc trosk ziemskich skrzydła mu gnieci,
Zdoła obudzić w sobie sił trwanie; —
Jak orzeł, gdy raz w obłoki wzleci,
Swobodnie buja po chmur rydwanie,
I coraz wyżej, wyżej się wzbija,
Przepaście ziemskie zdala omija. —

Prawdomir.



KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

32)

(Ciąg dalszy).

— Do Kamienia... powtórzył Jan. — A to po co?

Teraz Adam podniósł oczy na stojącego we drzwiach. Głos Jana go uderzył. Zrozumiał, że to nie jest pytanie na wiatr rzucone, domyślił się, że Jan odgadł coś, domyślił się czegoś, co on sam nie sformułował sobie dotąd w sposób stanowczy. Ale rzecz ta dzieje się czasem w chwili jednej, w jednem oka mgnieniu, i tak właśnie zrobiło się teraz z Adamem. Gdy Jan powtórzył raz drugi: — Po co tam jedziesz? Po co tam jeździsz od pewnego czasu? Adamowi coś błysnęło w ciemnych oczach. Spuścił je na chwilę, jak gdyby chciał spojrzyć w głąb swojej istoty, ale podniósł je wkrótce i spojrzenia braci się spotkały. Jan stał blady, poważny, surowy. Zdawało się, że to jest jakiś opiekun, jeżeli nie brata, stojącego przed nim, do tej dalekiej, która choć nie wymieniona imiennie, nie wyzwana głośno, była jednak w myśli obydwóch. Adam zrozumiał o co go Jan pyta; intuicya, nie będąca wcale rzadkością w razach podobnego starcia się z sobą dwóch elektrycznych prądów uczucia, dwóch występujących naprzeciw siebie duchów, oświeciła go. Rumieniec, teraz silniejszy, wybił się z pod matowej jego cery i ogrzał chłodny wyraz twarzy. O jedną minutę później, brat starszy byłby może odpowiedział bratu młodszemu obojętnie zimnym tonem, że jedzie do Kamienia dla rozrywki, która mu się podoba i byłby może spokojnie zapukał w okno na Marcinka, pytając czy mu prędko przyprowadzą konia? Ale są chwile, w których wzruszenie zdolne jest zwyciężyć nawet najchłodniejsze natury. To też Adam Kamieński nie odpowiedział tak pytającemu go bratu. — Kocham Janie — rzekł głęboko wzruszonym i uroczyście brzmiącym, choć lekko przyciszającym się głosem.

— Kocham pierwszy raz w życiu... dodał w pół do niego, w pół sam do siebie.

Teraz z oczu Jana strzeliła jakaś iskra, błysnął jakiś płomień, ale cofnął się krokiem w tył, jak gdyby odstępując odedrzwi, które , że stały za nim otwarte, zdawały się czynić Adamowi przejście wolne. Ten podał Janowi rękę, jak zwykle uczyniłby na pożegnanie i postąpił z sieni na ganek, gdzie właśnie w tej chwili dostawiono mu konia. Był to nieduży, ładny konik kary, na którym pan Piotr zawsze się wybierał jeździć, już się na to zebrać nie mogąc, a którego teraz odstąpił starszemu synowi, gdy ten przeprowadził się do leśnej chaty Jana. Koń był rasowy, jeździec na nim wytwornie elegancki, i Jan stał chwilę patrząc za nimi.

— Panicz nie zapomniał dobrze jeździć w mieście — ozwał się nagle Marcinek, patrzący też z przed ganku, i nie badający wyrazu oczów brata, który patrzał za bratem.

— Tak — rzekł Jan zwykłym, spokojnym głosem, w którym jednak drgał jakiś ton dziwny.

— Tylko nie po naszemu, proszę pana — zaczął znowu Marcinek — panowie powiadają, że tak się unosi po angielsku....

Jan się cofnął do pokoju i Marcinek nie dowiedział się z pewnością, czy Adam jeździ konno po angielsku.

Przez miesiąc blisko, bracia nie mówili do siebie ani słowa w przedmiocie bywania Adama w Kamieniu, choć wizyty te zaczęły się teraz stawać częstsze, powtarzające się co dni kilka. Zdawało się jak gdyby rozmówienie się Adama z bratem popchnęło go do jakiegoś postanowienia stanowczego, i może być, że tak się stało. Adam, wyznawszy już komuś swoje uczucia, mógł się sam w nich ośmielić, mógł być nawet spokojniejszy w myślach co do rodziców, bo przez Jana wtajemniczył niejako w to, co robił. Słowo przecież żadne nie zostało wymówione, i nawet we dworze Kamiennej Woli nikt nie wiedział o niczem. Na Janie nie znać było wcale, że doszedł do posiadania jakiejś tajemnicy; pokazało się przecież, że nie jest zmęczony pracą zbyteczną, bo wcale nie odpoczywał, a nawet pracował więcej, uparciej niż kiedy, niczem saś nie zdradził już rozdrażnienia nerwowego, o które się pomówił. Raz tylko jeszcze Jadwiga spytała go czy nie jest słabym? ale odebrawszy odpowiedź przeczącą, już się czuła spokojną, cała bowiem rodzina była bardzo mienego zdrowia, i myśl choroby nie przychodziła łatwo do głowy. Tylko Felisi zdawało się, że spostrzega w Janie jakąś zmianę. Parę razy w kościele dostrzegła jego oczy wlepione w siebie i zdawało jej się, że wzrok tych ócz jest smutny, żałosny. — Pamięta jeszcze.... pamięta zawsze.... mówiła wtedy sobie, i z kolei ona stawała się smutną, żałosną. Serce jej się ściskało w piersiach uczuciem żalu niewymownego, i podnosząc proszące spojrzenie na obraz cudowny, błagała Matki Boskiej o cud łaski takiej, aby Jan mógł zapomnieć.... Nie modliła się o to, aby ją pokochał — och! nie.... bo czyżby ona śmiała się nawet modlić życzeniem takiem, ona modliła się tylko, aby Jan przestał cierpieć i zapomniał tamtej.... aby był jej przyjacielem....

Jako przyjaciółka powinna była może, powiedzieć mu coś, że nie godzi się być wciąż smutnym, tak smutniejszym zaraz, ale nie miała na to odwagi. Tylko sama smutniała także, smutniała nawet bardzo, lecz spotykając Jana, mówiąc do niego, usiłowała to chować, uśmiechała się, a uśmiech ten — pokrywający smutek — dostawał jakiś wdzięk nowy, melancholiczny, który zdawał się być niby miekkością łagodną słodyczy większej, tkliwości zdwojonej. Jan to dostrzegł z kolei, dostrzegł nietylko w uśmiechu; gdy mówiła do niego zdawało mu się, że w głosie mówiącej śpiewa mu jakaś nuta nowa, a gdy raz utonął okiem w jej oku, spojrzenie modrookiej spuściło się nagle i rumieniec, występujący zwolna pod spojrzeniem, które na sobie czuła, oblał ją w końcu całą, zróżowił. — Ach! rzekł sobie Jan tęsknie. — Śnieżny kwiat bierze barwy.... Staje się jak różanny pąk w maju... Wietrzyk go kołysze i szep-

cze mu, on się rozchyla i staje cały w krasie pod gorącym promieniem, który nań z góry pada...

Mówił tak sobie w południe niedzielne po spotkaniu przedkościelnem, które o kilka minut przedłużył. Wczoraj widział się w miasteczku z Oktabowiczem i rozmawiał z nim chwilkę. — Dlaczego to pan kochany, nie zajrzy do nas nigdy z braciszkiem starszym? — wymawiał mu tenże uprzejmie. Z pana Adama, panie drogi, dopiero sąsiad dobry!... Aż nam wszystkim teraz w domu serce rośnie od honoru takiego. Niech no wrota skrzypną, a kto zawoła: — Pan Kamieński jedzie!... to moja imość, panie, chciałaby piec na środek wystawić. Tylko ja wołam: hola!... nie wolno tego nawet dla dziedzica, bo piece, panie, nie nasze....

Śmiał się z serdecznym humorem rubasznym i zacierał ręce; oczy mu się świeciły jak wtedy, gdy pierwszy złożony tysiąc złotych sobie przerachował i imości dał w depozyt do komody olszowej.

Jan go słuchał uważnie i nazajutrz mimowoli ścigał Felisię wzrokiem rozżalenia gorącego. — O moja dziewczynko dobra! wołał w nim smutek tęsknoty niewymownej — moja śliczna dziewczynko modrooka, niech ci Bóg szczęści....

Lecz kiedy ją stracił z oczu, kiedy się z nią rozstał, uscisnąwszy, może troszkę silniej, rączkę małą, zdjęło go uczucie niewysłowione. To mu się chciało nagle klęknąć przed matką i położywszy jej głowę na kolanach prosić, aby mu przycisnęła trochę czoło rozpalone dłonią macierzyńską; to chciałby był iść gdzieś w świat. Nie pędzić jak dawniej lubił na kasztanku, ale iść samotnie, gdzie oczy poniosą. Bał się przecież zajść nagle do Kamienia, wejść w progi domu Felisi i spotkać się tam — z bratem...

Adama nie było tego dnia na obiedzie u rodziców. Powiedział tylko matce: — Nie mogę być dziś w domu... Jan przecież, choć dawniej nie bywał przenikliwy, wiedział aż nadto dobrze, gdzie pojedzie.

Będzie cały dzień z Felisią! Jan zaraz po wstaniu od stołu uciekł do swojej chaty leśnej. Ojciec chciał go zatrzymać na pogawędkę, dawał mu jakieś wyborne cygaro i nalegał: — Spróbujno je, sprobuj kochasiu. Ale Jan pocałował ojca w rękę i uciekł.

Był to już początek marca, i dnie, zwłaszcza przy pogodzie, która panowała, zaczęły się stawać znacznie dłuższe, miał też dość czasu nachodzić się tam i napowrót po samotnym pokoju swej chaty. Ale gdy mrok szary zaczął padać, on zmęczony, siadł na kanapce przy stoliku i oparłszy głowę na rękach dumał.

O czem przecież? Czy sobie wyrzucał, że zalotnica, która przesunęła się przez jego życie, jak błyszcząca kometa wędrowna, potrafiła życie to zwichnąć i opustoszyć na zawsze! Bo gdyby nie Wanda, gdyby nie ten szalony paroksyzm namiętności, który przebył, kto wie, coby już było dzisiaj?....

Siedział tak pogrążony w myślach, zapadający niejako w ciemność, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł Adam. Wszedł żywo, prędko i zawołał brata po imieniu, a Jan dziwnie czegoś zaniepokojony głosem, który usłyszał, wstał co prędzej. Adam pochwycił go zaraz za obie ręce i poprowadził do okna, gdzie było jeszcze dość widno, aby mógł spostrzedz, że brat starszy był śmiertelnie blady. Gdy mu teraz z przerażeniem niewymownem w oczy spojrzał, ten go ścisnął za ręce prawie gwałtownie. — Czy wiesz czegom się dziś dowiedział? rzekł głosem, który drżał, choć mówiący usiłował nad tonem jego panować; — czy wiesz?

Jan milczał, ale go przechodził strach nieopisany.

Dowiedziałem się, że ona kocha ciebie!... rzekł Adam i zaczął się forsownie śmiać. Ale ten śmiech przykry nie trwał długo. — Dowiedziałem się, że cię kocha!... powtórzył gorzkim smutnym głosem.

Jakim sposobem Adam doszedł do wiadomości, którą objawił Janowi? Nie oświadczył się i nie dostał kosza. Felisia nie powiedziała mu bynajmniej, że kochać nie może, bo kocha już innego — jego brata... Nie powiedziała mu zgoła nic o sobie, on przecież został nagle tknięty promieniem światła. Ktoś kochany bardzo gorąco może o tem niewiedzieć długo, długo niezmiernie; ale jest to smutnym przywilejem niewzajemnej miłości, że jakaś bolesna intuicya odkrywa jej trop prawdy i łudzić się długo nie daje. Natury najmniej przenikliwe posiadają przecież ten smutny dar odgadywania, który bierze ich serca na tortury. Lepiejby im było nie wiedzieć, przecież dowiadują się najpierwsi o tem, czego nikt nie podejrzywa, nikt nie przypuszcza — że jest ktoś od nich szczęśliwszy. Tak się stało z Adamem w pierwszy dzień dłuższego, mniej ceremonialnego przebywania z Felisią. Wizyty jego były, osobiście biorąc, męczącą rzeczą dla p. Jacka i pani Jackowej, bo nie umiał jak Jan bawić ich, ani sam bawić się z nimi i tylko duma, złączona z miłością rodzicielską, mogła go czynić pożądanym gościem w Kamieniu. To też po przebytym trudzie przedobiedniej ceremonialnej rozmowy i atencyi świadczonych mu przy sześciu daniach obiadu, tak tatunio jak mamunia Felisi zapotrzebowali chwilki odpoczynku, który im się słusznie należał. Felisia siadła do fortepianu, i w czasie tej to muzyki pani Jackowa wymknęła się na chwilkę pogawędki z Dąbrosią o przebytej świetnie kampanii obiadowej; pan Jacek przypomniał sobie jakieś rozporządzenie wójtowskiego urzędu, które wydać potrzebował i tylko Fruzi kazano zostać przy gościu na przyboczną straż Felisi. Obiecano jej za to rodzenków, więc siedziała grzecznie w bawialnym pokoju, kręcąc się między dwojgiem, które od fortepianu i muzyki przeszło z czasem do literatury i półeczek z najulubieńszemi Felisi książkami. Dla jakiejś cytaty Felisia sięgnęła tam po „Pana Tadeusza,“ a Adam prawie machinalnie wziął następujący z kolei tomik, jakiś skarbczyk, jakiś zbiorek poezyi i wyrzucił z niego przypadkowym sposobem kilka zasuszonych kwiatków. Były to niezapominajki już zblakłe zupełnie, przecież Felisia z pewną żywością dziewczęcą pośpieszyła je zbierać, broniąc prawie tak Fruzi jak gościowi ich dotknięcia. Adamowi wydała się przytem tak wdzięcznie dziecinną, że się mimowoli uśmiechnął, jak do małej dziewczynki i zapytał żartobliwie, czy to nie pamiątka jakiej dozgonnej przyjaciółki pensyonarskiej, dana w chwili rozdziału, ale Fruzia uprzedziła siostrę w odpowiedzi. — Nie — o nie!.... rzekła. — Byłam już wtedy duża i pamiętam kiedy sobie Felisia te kwiatki w książkę kładła. Dostała je wcale od kogo innego... Ktoś je jej przysłał.... Niech pan zgadnie kto? — dodała szczebiocąc jak ptaszek, któremu na wiosnę szczebiot jest potrzebą. — Pan tego ktosia zna... Nosi się w czarnym kolorze.... a i w białym!... Niech pan zgadnie: w czarnym i białym kolorze....

Dlaczego Felisia zarumieniła się gwałtownie, dla czego ją oblały najgorętsze płomienie rumieńca? Każda czytelniczka to wie, czuje, że będąc Felisią zapłoniłaby się niezawodnie tak samo, ale Adama rumieniec ten uderzył, zastanowił, dotknął. Nie zapytał Felisi o jego przyczynę, ale oczy uważnie na niej zatrzymane pytały: — Kto jest, dający ci kwiatki takie, że je sobie jak relikwie chowasz i wtedy nawet, gdy są już bezbarwne i bezwonne, otaczasz je czy czcią relikwi, czy miłością pamiątki drogiej?

Felisia zmieszała się mocniej i stała cała w ogniu pod

badawczem Adama spojrzeniem, ale ta badawczość właśnie obraziła niejako jej dumę dziewiczą.

— Jakie ma prawo do tego? — rzekła sobie i nagle tknęło ją przeczucie rzeczy dotąd dla niej ciemnej. Z wizyt Adama nie wyciągała wniosków żadnych, bo nie była jedną z tych młodych panien, których tak czas jak uczucie kołaczą się w próżni i na romans wypadków czekają; gdy przecież wizyty te zaczęły się stawać częstszemi, dziwiły ją zrazu trochę, ale powiedziała sobie następnie, że Adam po pracy umysłowej potrzebuje przejażdżki i rozrywki jakiejś, której w najbliższem otoczeniu szuka. Teraz jednak drgnęła niespokojnym domysłem, który, że jej był przykrym, tem więcej inkwizycyjny wzrok Adama ją dotknął. Gniewała się w duszy na siebie za rumieńce niefortunne, ale gniewała się i na niego, że je wywołał. — Nie mam się czego rumienić... powiedziała sobie stojąc na przeciw Adama przy stoliczku małym, który był pod półeczkami przenośnej biblioteczki umieszczony, to też z pewną powagą, a nawet z odrobinką czegoś co można było nazwać „seryo“ powiedziała mu od kogo ma kwiatki i zkąd pochodzą. — Leśne łąki nad Kamionką tworzą najwdzięczniejszy krajobraz, jaki znam — dodała, aby rzecz zakończyć. — W porze, kiedy niezapominajki zakwitają, jest tam jak raju kawałek....

— Raju z sielanki — rzekł Adam z ironią, której powstrzymać nie mógł. — Chowasz je pani zatem dla rajskiego pochodzenia?...

Ją znów oblał rumieniec, ale wzmogło się i podrażnienie. Chciała się otoczyć powagą, która jest tak wysoka, że troszkę z góry traktować może. — Chowam te kwiatki dla tego, że są pamiątką chwili miłej dla mnie — rzekła podnosząc nieco głowę. — Pierwsze czasy mego tu pobytu, pobytu naszego w Kamieniu, mogły były stać się bardzo smutnemi wśród okoliczności boleśnie przykrych. Mogło być tak długo, długo bardzo. Mój ojciec, którego kocham i szanuję, mógł doznać nie jednej przykrości, gdyby nie dobroć brata pańskiego, umiejącego dobrotliwie stosunek ułagodzić. Te kwiatki, tak mi miłe, były z jego strony oznaką uczucia dobroci sprawiedliwej — o wielkiej, wielkiej dobroci!

Przy słowach ostatnich głos jej zmienił skalę — przeszedł mimowoli jak gdyby w śpiew na nutę niewymownie słodką.

— Kocha go! zawołał w sobie Adam.

Z czego wywiódł ten wniosek, na czem go oparł? Jeszcze nie na rumieńcu, który mógł być lękliwą skromnością wiejską — nie!.... Rumieniec mógł wytłumaczyć sobie łatwo, ale nikt już nie byłby mu mógł wytłumaczyć teraz, że spostrzeżenie jego na czemś innem oparte, było błędnem. Miał w sercu pewność tego, co czuł, miał tego okrutną, niezbitą pewność, gdy w godzinę potem rzekł, ściskając aż do bólu rękę Jana: — Ona cię kocha!...

I nie chciał dodać mu nic nad to. Po pierwszym wybuchu ostrego, kaleczącego słuch śmiechu powtórzył mu z goryczą poważną: — Ona cię kocha! i już nie dał się zwrócić do żadnych wyjaśnień, żadnych motywowanych wywodów. — Wiem to — odpowiadał na niespokojne, rzec można zalęknione pytanie Jana, kto mu powiedział to, co wnosi? — Jutro jadę — zakończył chmurno — potrzebuję jechać jutro....

I poszedł zaraz na drugą stronę chaty pakować kuferek podróżny.

Jan został jak człowiek rażony promieniem otwierającego się nieba, jak człowiek tonący w potop światła. Stał w osłupieniu rozkoszy, potem chodził, siadał, wstawał, a rozkosz nie przemijała. Brał go żal nad Adamem, doświadczał niewymownie bolesnego uczucia, gdy słyszał wśród ciszy wieczornej poruszanie sprzętów w jego pokoju, otwieranie szaf i szuflad, ale mimo to rozkosz przenikała go na wskroś. Grało coś w nim jak muzyka rajska i powietrze było jak gdyby nie ziemskie, a gwiazdy jakieś inne: lżejsze, łatwiejsze do oddychania, pozwalające mu się poruszać jak gdyby był istotą skrzydlatą, którą skrzydła owe unoszą, nawet wtedy, gdy chodzi po ziemi. Czyżby zatem wyrastanie skrzydeł platońskich było rzeczą prawdziwą? Na pytanie to, może odpowiedzieć każdy człowiek, który choć przez godzinę był szczęśliwy przez miłość, Jan przecież nie miał w tej chwili usposobienia do badań psychologicznych i czuł tylko, że mógłby gdzieś lecieć w przestwory. Pewnoby zaleciał do Kamienia, do Felisi i padł jej do nóg odrazu, wołając: — Czy to prawda jest dziewczynko moja anielska, że ty kochasz?

W tej chwili usłyszał, że Adam wychodzi. Spojrzał za nim przyciskając twarz do szyby i zobaczył go wśród nocy pogodnej, że zawraca się w drogę na lewo, ku Kamiennej Woli, ku domowi rodziców. Szedł zapewne powiedzieć im, że wyjeżdża jutro; szedł sam wśród nocy, on brat jego, w którego serce uderzał zawód po zawodzie. I Jan uczuł też nagle, jak gdyby ogromny wyrzut sumienia za szczęście samolubne, w którem tonął przed chwilą, aż coś wyższego nad szczęścia tego uczucie wstrząsnęło nim. Wybiegł z pokoju i znalazł się w okamgnieniu na skraju lasu. — Adamie! zawołał — Adamie! proszę cię, czekaj.....

Gwiazdy tylko świeciły, przecież bracia mogli widzieć twarze swoje. — Adamie — rzekł Jan — nie spiesz się tak z odjazdem, z decyzyą... Zapomnę coś mi powiedział — dodał ciszej....

Adam wpatrzył się w twarz Jana i ciemne jego oczy zabłysły, poszukał ręki braterskiej i ścisnął ją. — Dziękuję ci Janie — rzekł, a znać było, że zna teraz i drugiego serca tajemnicę.

— Zapomnę.... powtórzył Jan, ciszej jeszcze niż poprzednio.

Adam potrząsnął głową. — Nie bracie — odparł — twoja szlachetna ofiara nie może mieć miejsca.... Pamiętaj, że ona cię kocha!...

Wyrzekłszy to Adam, odwrócił się żywo od brata i zaczął szybko iść drogą, wiodącą przez pole. Jan wrócił do swej chaty leśnej z piersią ściśniętą. Czuł się dziwnie przepołowionym przez żal i szczęście.

Adam odjechał nazajutrz wcześnie. Noc ostatnią przespał pod dachem rodziców i nikt, matka nawet nie wiedziała o dramacie, który się rozegrał między braćmi. Przy pożegnaniu ręce ich uścisnęły się silniejszym niż kiedykolwiek uściskiem, uściskiem braterskim. — Kiedy Adamie przyjedziesz znów do rodziców? zapytał Jan już w ganku, trochę nieśmiałym głosem.

— Na twoje wesele — odparł Adam w pół żartobliwym, w pół smutnym głosem, ale postąpiwszy krok ku powozowi, zawrócił się znów ku niemu. — Janie — rzekł ze wzruszeniem, które tłumił — ja tu wrócę może kiedyś stary i zmęczony, wrócę pod dach rodzicielskiego domu, ale zapewne już nie do rodziców. Ich już nie będzie wtedy, aby przyjęli syna, i będzie to twój dom, uratowany twoją pracą. Czy mi w nim dasz kąt cichy?...

— Adamie! wykrzyknął Jan z żalem — nie mów tak...

(Ciąg dalszy nastąpi).



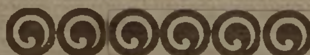


Amatorom lekkich win
poleca
na sezon latowy!!!
wyborne, czyste, odstałe
Górnowęgierskie wino stołowe
z roku 1908-go. — litrowy gąsiorek **2,25** włącznie szkła starannie wypielęgnowane i od producentów **wprost zakupione.**
Wielki wybór 42
win mozelskich i reńskich.
Wina czerwone z Bordeaux!
smaczne, butelka (3/4 litra) już od **1,25 M.** włącznie szkła.
A. Pfitzner
w Poznaniu, Stary Rynek 34, wchód z ulicy Wiankowej | **i w Màd pod Tokajem** własne winnice, wytłocznia i sklepy.
NB. Bliższe szczegóły w cennikach.
Kupcom znaczny rabat.

Wielka obietnica
objawiona przez P. Jezusa
Nowenna łask Boskich
zapewniająca **dobrą śmierć** każdemu, kto ją raz jeden w życiu godnie odprawi.
Z aprobatą kościel. 190 stron.
Cena 10 fen. z przes. 15 f.
10 sztuk z przes. za 1,30 m.
zamawiać w
Księgarni Katolickiej,
Poznań, Jezuicka 5. za zaliczką lub pieniądze naprzód.

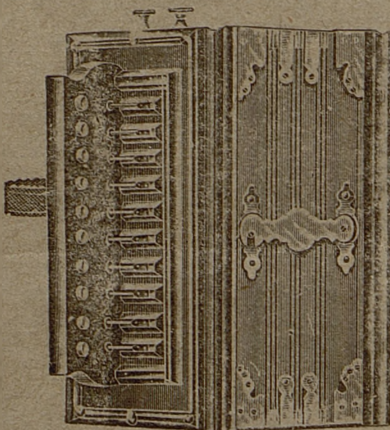


Abonujcie „Pracę“





Możliwie **najniższe fabryczne ceny!**
Koncertowe
(bardzo silne) czysto stroj. prima
HARMONIKI
po cenach fabrycznych.
2 klucze, 48 głos., 2 basy mk. **3,00**
2 klucze, 48 głosów, 2 basy okuwana mk. **4,00**
2 klucze. 48 głosów, 2 basy, okuwana, większa mk. **4,50**
3 klucze, 72 głos., 2 basy, okuwana, większa mk. **5,00**
4 klucze, 92 głos., 2 basy, okuwana, większa mk. **6,00**
4 klucze, 92 głos., 4 basy, okuwana. większa mk. **12,00**
4 klucze, 92 głos., 2 basy. okuwana, organ mk. **12,00**
6 kluczy, 132 głos., 2 basy, okuwana, organ ff. mk. **17,00**



Na życzenie wysyłam cenniki darmo.
Niech każdy korzysta i drugim rozpowiada.

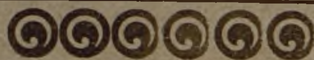
Nr. 3155. **Skrzypce dla chłopców** zwyczajne, z smyczkiem, kalafonią i kartonem mk. **3.00**
Nr. 3158 **Skrzypce dla chłopców** lepsze wykład. do nauki dla początkujących z smyczkiem, kalafonią i kartonem mk. **4,50.**
Nr. 3161. **Skrzypce dla dorosłych** początkujących, z smyczkiem kalafonią i t. d. mk. **5,00**
Nr. 3172. **Skrzypce dla dorosłych** znacznie lepsze, z wszelkiemi przyborami mk. **7,00**
Nr. 3186. **Skrzypce dla dorosłych** z pięknym i silnym głosem i wszelkiemi przyborami mk. **9,50.**
Nr. 3190. **Skrzypce dla dorosłych** dobrych graczy, wspaniałe z smyczkiem i futerał. drewnian. mk. **15,00.**
Nr. 3198. **Skrzypce koncertowe** dla dobrych graczy; z najlepszego drzewa, wysokie dokładnie odrobione i starannie wykładane, z pełnym, silnym. czystym głosem, w elegancko futrowanym drewnianym futerałem z zaameczkiem oraz z smyczkiem kalafonią i strojnikiem mk. **25,00.**
Klarnety po **5, 6, 7, 8, 10** marek. 113



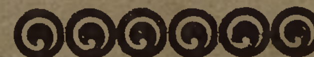
Adres: **M. DANECKI,** Poznań-Posen, Św. Marcin 58, I piętro.

Kasa oszczędności
Banku Rolniczo-Przemysłowego
Kwilecki Potocki i Sp.
przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 33

A. Szmytkowski
Telefon 17. **Pniewy (Pinne.)** Telefon 17.
Destylacya. Fabryka likworów i araków.
Specyalność:
Jubileuszówka, Jagodówka,
Gdańskie wódki,
Nalewka wiśniowa, Nalewka pomarańczowa, Nalewka śliwkowa.
Premiowane złotymi medalami 59
Nowość:
„Hetman“, staropolski likier żołądkowy
„Ukas“, krystalizowana kminkówka
Skład prawdziwych araków, rumów, koniaków i handel win.



Uczeń
syn uczciwych rodziców, mający chęć wyuczyć się
zecerstwa
może się zaraz zgłosić do
Drukarni „Pracy“
Sp. z o. p.
Poznań, Rycerska 38.



KAZIMIERZ OSSOWSKI
INŻ. I OBROŃCA PATENTOWY
PRZY CES. URZĘDZIE PATENTOWYM
W BERLINIE Potsdamerstr. Nr. 5.
2

33
Janusz Karwat
Zakład dentystyczny
Poznań, ul. Wrocławska 13 I.
Godziny przyjęć: od 9—1 i 3—7.
Pracowałem czas dłuższy w klinikach uniwersytetów w Berlinie, Wrocławiu i Gryfii.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.